

DZIŚ I JUTRO

NR. 7. MIESIĘCZNIK DLA MŁODZIEŻY ROK XI

CZŁOWIEKOWI

Przejdź siedem gór,
tych stromych gór,
Co męczą twoje nogi;
Gdy wichrów chór
odmętom chur.
Nadaje ton złowrogi.
Przez siedem mórz,
Łez gorzkich mórz,
Zbolałe przewiedź ciało!
By pośród burz
promiennych zórz
I słońca by nie stało!
Wejdź w mroczny bór,
ten gęsty bór,
Co cię szyderstwem schłosta,
Bo przyjdzie, przyjdzie wiosna
Dla ściętych w chłodzie kwiatów,
Dla nagich drzew...
Rozsnuje promienne krosna
Słońce, blaski ziści;
Odetchnie ziemia wonią,
Zanuci życia śpiew!...
I z zimowego leża
Na głos spienionej wody
Zahuczy w sercu krew!
Uderzy w żył odźwierza,
Apatji stopi lody,
Zakrzyczy życia zew!

— — — — —

I z odrętwienia grobów
I z odrętwienia światów
Wyniknie czynu wiew!...

— — — — —

W śmieszności wór
strojny duch-wzór
Niech siedm przejść lasów
sprosta,
By znalazł świat,
wód świętych świat,
Co wskrzeszą serca bicie.
Po pracy lat
w poznania szmat
Wprowadzą go w zachwycie.
I znajdzie tam,
bez zwątpień plam,
Dla życia szlak swej drogi
W słoneczny kres,
co z szczęścia łez
Uśmiecha się.
A od tych zórz
nie wróżą już
Żadne go ziemskie moce.
Lecz siedem mórz
przejść trzeba wzdłuż,
By dojść, gdzie blask migoce!

Janina Unkiewicz.

Co lubimy czytać?

Przed chwilą skończyłam czytać jakąś powieść. Autor? Już nawet nie pamiętam jego nazwiska. Tytuł książki? Właściwie tytuł książki jest mi obojętny, bo i treści niewiele pamiętam. Wiem tylko tyle, że intryga była dość zaciekawiająca, że było kilka „czułych" scen i bohater powieści był przystojny.

Często tylko tyle zostaje nam w głowie po przeczytaniu długiej powieści, która zabrała nam szereg godzin, przeznaczonych na wypoczynek czy rozrywkę. I nieraz, zamykając książkę po przeczytaniu ostatniego zdania, wzdychamy z niechęcią: Szkoda było czasu, bo mi ta książka nic nie dała.

Nie będę przypominała tu znanych ogólnie zdań, czem może i powinna być dla człowieka lektura. Jej znaczenie zawiera się w słowie: **przyjaciel**. Jednakże okazuje się, że nie każda książka jest dobrym przyjacielem.

Chciałabym dowiedzieć się, jakie jest zdanie Czytelników „Dziś i Jutra" o lekturze. Spróbujmy więc odpowiedzieć sobie na kilka pytań:

1. Gdyby jakiś autor ofiarował się napisać dla mnie książkę — jaki rodzaj wybrałabym: powieść sentymentalną czy kryminalną? Powieść o życiu rodzinnem czy opis podróży? Powieść historyczną czy jakąś inną?

2. Jakie są moje ulubione książki? Dlaczego właśnie te?

3. Jeżeli czytam jakąś książkę, co wolę — czy opis środowiska podobnego do mojego czy innego?

4. Czy wolę przenosić się w krainę marzeń, czy też obracać się w rzeczywistości?

5. Czy wolę, gdy książka wywołuje śmiech czy — łzy?

Redakcja „Dziś i Jutro" prosi Kochane Czytelniczki o nadsyłanie odpowiedzi na powyższe pytania. Prosimy też o podanie wieku i klasy, pozatem odpowiedzi mogą być anonimowe.

Po otrzymaniu odpowiedzi z różnych stron kraju, będzie można zestawić mniejwięcej ogólne upodobania i zainteresowania czytelnicze wśród żeńskiej młodzieży gimnazjalnej. Będzie to bardzo interesujący artykuł, do którego warto przyczynić się przez napisanie odpowiedzi na powyższą ankietę. Do dzieła więc — Czytelniczki „Dziś i Jutro"! Czekamy na Wasze listy! *Z. K.*

PROJEKT OKŁADKI WYKONAŁ HENRYK STASZYŃSKI — Kraków.

Dziś i Jutro

pismo dla młodzieży

Kraków.

Rok XII. 1935. MARZEC Nr. 7.

PIŁSUDSKI

... I ostatni był rozkaz i strzał ostatni!

Z legend milczących dziejów, Dzień się wy-
[kołysał
i przerwał krwawą taśmę, co od wieków trwała.
Twym krokom na spotkanie Duch historji
[wyszedł
i wiatr wolności przewiał ulice Warszawy.

Pod niebo srebrną łuną wzbił się krzyk
[daleki —
Krzyk, co lata pamięta — jak tarcze na
[grobach;
Biegły pułki, gdy wbiegły, opadły powieki,
Trudno było tak patrzeć na mundury drogie!...

I trudno było sercem to wszystko ogarnąć
i mówić, mówić, mówić to szczęście napamięć;
Tyle barw, tyle słońc, każde słowo barwne
i Twa postać tak wielka jak dziejowa zamieć.

Tyle dni . . . .
A Twe myśli są zawsze te same . . .

Miłość, większa niż Litwa, w dzień wolności
[się wwierca —
Twoje oczy wciąż biegną w podkarpackie brzegi
Bałtyk pierś podał Gdyni jak Ty Polsce —
[Serce
I oddechem wiślanym splotli się na wieki.

Czarna moc nienawiści nie krwawi dziś ulic,
Duch zraniony nie błąka się po Antokolu,
Gmach największy, Belweder, w Twą miłość
[się wtulił,
Gmach największy wziął duszę Narodu.

Co noc ciszą się dławią belwederskie drzewa,
Co noc ktoś się spowiada na kartach historji.
Co noc, co noc do okien wiatr świeży powiewa
I warty się zmieniają co noc przed Białym
[Orłem.

I wciąż idą dni nowe, niosą świętą sprawę.
A Twe myśli?
Twe myśli są zawsze te same.

P. Z.

O WARTOŚCI ŻOŁNIERZA LEGJONÓW

*wyjątki z przemówienia **Józefa Piłsudskiego** z dn. 3. VIII. 1923 r.*
(Pisma, mowy, rozkazy. Wydanie zbiorowe. Warszawa 1931 r. tom VI, str. 97).

Wojsko polskie, któreśmy zaczynali budować, wypływało nie z woli i nie z chęci narodu polskiego. Nie czynię ani żadnych oskarżeń, ani żadnych do nikogo aluzyj. Traktuję rzecz objektywnie, jak historyk. Ostatniem wojskiem polskiem, które było bezpośrednio przed nami, było wojsko 1863 roku. Poniosło ono klęskę, zostało rozbite i zgniecione. Przez 50 lat naród polski nie pragnął wojska. Z tych czy innych powodów nie ważył się na myśl tworzenia własnego wojska, a i w momencie wybuchu wojny światowej również nie miał życzenia i aktu woli, by stworzyć wojsko polskie. Świadectwem tego pozostanie fakt historyczny, że w pierwszych dniach wojny światowej stanęły pod broń dziesiątki, ba, setki tysięcy Polaków, którzy zgodnie z prawem państw zaborczych znaleźli się w szeregach jako żołnierze armij obcych. Dlatego też my, występując na arenę dziejową jako wojsko polskie, byliśmy w stosunku do własnego społeczeństwa nowatorami — chcieliśmy dać Polsce polskiego żołnierza.

Każde nowatorstwo ma swoje prawa psychiczne, niezmienne prawa duszy, dające się dostrzec u wszystkich nowatorów.... Pierwszą...... ich cechą jest umiejętność wydobycia ze siebie wysiłków większych niż przeciętne wysiłki człowieka, większej niż przeciętna energji. Bez tej niezwykłej energji i nieprzeciętnego wysiłku niepodobna przepchać się przez zwarty tłum uprzedzeń i niechęci do rzeczy nowych.

Drugą cechą, która z tego nowatorstwa wypływa, jest pewna przesada, pewna egzageracja w stosunku do tego nowego zadania lub nowego pojęcia, które się do życia wnosi. Chcieliśmy dać Polsce żołnierza, którego Polska nie miała i nie tworzyła przez lat 50.



Fot. Pikiel. Wojsk. Inst. Nauk. Wyd. Warszawa.



Marszałek Józef Piłsudski w Sulejówku 1925 r. *Fot. Pikiel. Wojsk. Inst. Nauk. Wyd. Warszawa.*

Z tego powodu, jak z jednej strony wysiłki duszy musiały być tu większe, silniejsze i energiczniejsze, tak z drugiej — była w stosunku do tego usiłowania wprowadzenia rzeczy nowych skłonność do pewnej przesady.....

Przekornie postanowiliśmy dowieść, iż możemy dokonać o wiele większych rzeczy niż te, których od nas żądano. Chcieliśmy szczególniej dowieść zarówno sobie jak i otoczeniu oraz obcym, że polski żołnierz sam, bez żadnej obcej pomocy może powstać, że obca pomoc jest dla nas niepotrzebna i szkodliwa. Ta walka z obcym wpływem, walka z obcymi w życiu naszem legjonowem przewija się jak czerwona nić, tworząc nieraz tragedje ludzi, tworząc nieraz walki wewnętrzne i walki z całem otoczeniem. Chcieliśmy sami ze siebie wytworzyć te wartości, które stanowią dobrego żołnierza...... Dobijaliśmy się o uznanie nas jako dobrych żołnierzy, o uznanie przez nas samych, potem przez otoczenie, wreszcie przez najsurowszych sędziów. Usiłowania te stanowią zdaniem mojem najsilniejszy ruchotwórczy czynnik Legjonów.

— — — — — — — — —

W..... odwrocie z moich żołnierzy byłem dumny, albowiem mogłem zrobić z nimi wszystko, co chciałem. Mogłem po skończonym odwrocie spokojnie dać rozkaz marszu naprzód. Gdy komenda austrjacka zwróciła się do mnie z prośbą, abym moich żołnierzy naprzód prowadził dlatego, że nikt z regularnej armji naprzód już iść nie chce, byłem jedynym, który z kilku bataljonami śmiało poszedł szukać nowego kontaktu z nieprzyjacielem. A za mną poszli moi dumni chłopcy, dumni, że tak wielką wartość żołnierską posiedli, poszli ze śpiewem, pogardę rzucając austrjackiemu otoczeniu.

Pamiętam, że w tym czasie widziałem jeden obraz Kossaka. Artysta ten służył wtedy

przy 1-ej armji austrjackiej, do której i myśmy należeli. Obraz nosił tytuł: »Legjonista czy Jeńcy«. Przedstawiał on młodego chłopca w mundurze legjonowym, dumnie opartego o karabin. Za nim w szarych szynelach kilku jeńców rosyjskich, przewyższających o głowę młodego żołnierza o dziecinnej twarzy i dumnych oczach, patrzących wdal. Obrazek — jak wiele innych. Kossak w rozmowie ze mną stwierdził, że dzieło to namalował, podpatrzywszy tę scenę z życia. Zwróciłem specjalnie uwagę na twarz młodego żołnierza z obrazu. Było w niej widoczne podobieństwo do wyrazu twarzy i oczu, jakie codziennie spotykałem u moich żołnierzy. Oczy niewinnego dziecka, młodzieńca, oczy, które życia nie znają. W tych oczach widoczny już był jednak zimny, stalowy odblask woli, stanowczości, decyzji — znamię przedwczesnego wydobycia z duszy wartości żołnierskiej.

— — — — — — — —

A cóż mówić o kobietach? Nie czekam w tym wypadku uśmieszków, świadczących o brudzie duszy. Mówię o kobiecie jako o pięknie życia. Mówię o kobiecie jako o istocie, która daje często lepsze, szlachetniejsze pobudki, która daje radość życia mężczyźnie.

Pierwsze poszły za nami kobiety. Kobiety odczuły silnie piękno życia, odczuły tę przekorę legunową, która szła wbrew całemu światu, która szła przebojem przeciw własnemu społeczeństwu, żądając od niego jeżeli nie uznania, to szacunku dla polskiego żołnierza.

— — — — — — — — —

Przejdę do innych przejawów pracy żołnierskiej. Mam na myśli stosunek ułana do konia. Czytałem całe tomy literatury, traktujące o tem, jak jazda powinna konie szanować i jak trudno ludzi do tej cnoty żołnierskiej doprowadzić..... Dla naszej kawalerji te grube tomy nauk i przestróg, spisanych na podstawie wojennych doświadczeń narodów, były niepotrzebne. Nasz ułan legjonowy kochał konia więcej niż kobiety, a kobiety kochał szalenie. Konie były skarbem duszy ludzkiej, konie były towarzyszami żołnierza. Wygoda konia obchodziła go więcej niż życie i rany własne. Konie ratował od zguby, z końmi się bratał, robił z nich jakąś, wyśmiewaną zresztą przez wszystkich piechurów, poezję końską. Ułan wydobywał ze siebie najwyższe wartości wojskowe, by sława ułańska, sława jazdy polskiej żyła po wieki.

— — — — — — — — —

Muszę wspomnieć również o zachowaniu się naszych rannych i chorych. Lekarze obcy często mówili mi: Co tam jest właściwie w tych waszych Legjonach? Żołnierze niedoleczeni, żołnierze, których lekarze zatrzymywali w szpitalu, wracali do pułków, wracali do kompanij, wracali do szwadronów, uciekali poprostu ze szpitali do wojska szukając nanowo tych ran, szukając nanowo triumfów żołnierskich. Pamiętam moją rozmowę z jednym z wybitnych lekarzy wiedeńskich, odbywających w charakterze chirurga inspekcję szpitali. Zastanowiło go to, że legjoniści znoszą operacje znacznie łatwiej, przechodzą rekonwalescencję znacznie szybciej niż wszyscy inni żołnierze. Tłumaczył to tem, że przychodzą oni do operacji w znacznie lepszym nastroju niż ogół żołnierzy austrjackich. Jedynem marzeniem naszych rannych i chorych było jaknajprędzej uciec ze szbitala, uciec, jak mówili, do domu. Domem był pułk, domem tym była kompanja, domem tym byli towarzysze broni.

— — — — — — — — —

Zawód żołnierski — to praca w nienaturalnych warunkach. Wytwarza on u żołnierzy specjalny stosunek do zjawiska śmierci. Umierają coprawda wszyscy ludzie. Ale gdy żołnierz idzie na śmierć, to znaczy, że śmierć bierze pod rękę i chodzi z nią po polach bitewnych.

— — — — — — — —

Legjony stworzyły w Polsce, odrodziły nanowo typ dobrego żołnierza. Ta zdobycz może w przyszłej historji stanowić będzie więcej niż te czy inne przewagi w tych czy innych bojach. Potrafiliśmy swoim wysiłkiem, swojem sercem, swoją wielką pracą i wolą dać Polsce nowy kulturalny nabytek — dać typ dobrego żołnierza polskiego. Powstał jakoby z mogiły dawny typ żołnierza powstańca przymierającego głodem czasem, wędrującego borem, lasem po ziemi ojczystej. Zapomniane, odpędzane, nieraz upiorne widmo lat ubiegłych naprzekór światu, naprzekór swoim żyło, żyć pragnęło, życie dając Polsce.



Jak liść opadły z drzewa

Kazik Morawski od wejścia Polaków do miasta był nieprzytomny. Czarne oczy błyszczały zachwytem, na chude, śniade policzki wystąpiły rumieńce. Kręcił się wśród wojska, chłonąc widziane obrazy. Uszły jego uwadze poniszczone mundury, często niedopasowane do figury, buty ledwie trzymające się na nogach, broń niejednolita. Widział tylko „polskie wojsko".

Późną nocą wrócił do domu. W jadalni przy stole siedział wuj z żoną i trzech oficerów. Kazik ukłonił się nieśmiało i podszedł niepewnie do wuja. Rozmowa urwała się, oficerowie z uwagą popatrzyli na wysokiego chłopaka w mundurze gimnazjalisty. — Mój siostrzeniec — przedstawił gosporarz. Podali mu rękę Kazik usiadł przy stole, słuchając zachłannie opowiadania o dotychczasowych walkach i marszach. Jeden z oficerow opisywał bitwę pod Laskami. W chłopcu odezwała się zazdrość, że tam nie był Wojna pociągała go jak jakaś nadzwyczajna przygoda. Narazie nie zdawał sobie sprawy z jej okrucieństwa. Rycerska krew przodków i idea wywalczenia Polski wzywały go do boju. Musi pójść.

Młody porucznik spostrzegł podniecenie chłopca. Popatrzał mu w oczy i pochyliwszy się ku niemu, szepnął: — A pan nie chciałby być z nami?

Kazik w jednej chwili spłonął rumieńcem i zbladł.

— Może rodzice nie chcieliby się zgodzić? — pytał oficer dalej

— Nie mam już rodziców. — Odrzekł chłopak. — Opiekuje się mną wuj, ale on pewnie pozwoli mi pójść.

— Ile pan ma lat?

— Skończę wkrótce dziewiętnaście, w tym roku zdałem maturę.

Powiedział to z dumą, bo zdawało mu się, że matura jest niezbitym dowodem dojrzałości.

— Proszę pomówić z wujem, a gdy wynik rozmowy będzie dodatni, niech się pan zgłosi do komendy któregoś z bataljonów.

Nazajutrz, po burzliwej przeprawie z wujenką i spokojnej rozmowie z wujem, wstąpił Kazik do legjonów. Przydzielono go do pierwszego bataljonu. Szary mundur wisiał na nim jak na tyczce, ale był dumny z niego. Koledzy przezwali go Szparagiem. Dostał karabin i naboje. Zabrał się bardzo nieumiejętnie do czyszczenia. Koledzy, doświadczeni żołnierze z pod Lasek, kpili z niego.

— Ty, rekrut, a uważaj, bo wystrzeli!

— Strzelać to pewnie nie umie! Przyznaj się!

— Chłopcy, zaraz go nauczymy strzelać!

Wiara gotowała się do widowiska. Kazik zmieszany patrzył błagalnie. Nigdy nie miał karabinu w rękach. Czuł, że przy pierwszych strzałach będzie miał „tremę". Za wszelką cenę pragnął, by nikt nie był świadkiem jego zapoznania się z karabinem. A tu... Ogarnęła go rozpacz. Dygotał ze zdenerwowania. Nagle przybiegł podoficer i zapędził wiarę do roboty. Rozbiegli się szybko. Kazik miał takie uczucie, jakby go uratowano z wielkiego niebezpieczeństwa. Oglądnął się jeszcze niepewnie i zobaczył niedaleko siebie młodego żołnierza o okrągłej twarzy i błękitnych oczach.

— Dokuczają prawda? Mnie też z początku dokuczali. Ale to dobrzy chłopcy, zobaczysz. — Kazik wyciągnął rekę ku niemu.

— Kazik Morawski.

— Stach Brzeziniak.

Uśmiechnęli się do siebie jak dobrzy przyjaciele. Stach zaczął objaśnić budowę karabinu.

— A teraz patrz, tak się nabija karabin. Spróbuj!

Kazik nabił sam karabin, podniósł go do oka.

— Nie bój się nic, przymróż lewe oko i celuj tam! — pokazał jakiś cel ręką.

— Strzelaj!

Strzał ogłuszył chłopca. W ramieniu poczuł ból. To karabin szarpnął.

— Nic nie szkodzi — śmiał się Stach — Teraz będziesz wiedział, że trzeba karabin silnie trzymać. No dalej!

Za każdym strzałem było lepiej. Mistrz był zadowolony ze swego ucznia.

Dzięki Stachowi Kazik prędzej zżył się z bracią żołnierską. Wysłuchiwać musiał jeszcze nieraz kpin i żartów, zauważył jednak, że nie on jeden jest ofiarą. Wszyscy nawzajem kpili i dokuczali sobie, a pod tem wszystkiem czuć było życzliwość i serdeczność. Parę godzin dziennie spędzał na mustrze. Szkolono nagwałt świeży materjał. U wujostwa bywał codziennie, słuchając żalów i przestróg wujenki.

Przed spoczynkiem prowadził ze Stachem długie rozmowy. Byli w jednym plutonie. Stach był synem woźnego, ojciec jego już nie żył. Po skończeniu czterech klas gimnazjalnych w Krakowie, pracował w sklepie. Na wieść o wojnie i wymarszu strzelców do Królestwa, rzucił sklep, do matki napisał długi list i zaciągnął się do wojska.

Boże Narodzenie miało wojsko polskie spędzić w Nowym Sączu. Nagle 20 grudnia padł rozkaz: wymarsz. Chodziły wieści, że Austrjacy nie wytrzymali naporu Moskali, Polacy mieli tę dziurę załatać.

Kazik początkowo maszerował dzielnie. Jednak po dwóch godzinach uczuł silne znużenie. Dopiero wieczorny odpoczynek i posiłek przyniosły mu ulgę.

Nazajutrz znów marsz. Droga prowadziła podgórę. Niedaleko już Łowczówek, gdzie podobno stoją Moskale. Kazik czuł radość a zarazem strach, że za kilkanaście godzin może, przyjdzie mu być w ogniu. Paliła go niecierpliwa chęć walki. W Lichwinie, niedaleko Łowczówka lasek, podzielony parowem, zajęty przez Moskali. Drugi, trzeci i część pierwszego bataljonu otrzymuje rozkaz zaatakowania nieprzyjaciela. Artylerja górska wali w brzeg lasu. Żołnierze posuwają się ostro linjami tyraljerskiemi. Kazik zaciska karabin w ręce. Serce wali. Moskale ostrzeliwują gwałtownie. Gwizd kul przypomina chłopcu śmierć, bolesnym skurczem dławi serce. Chwila — a rzuci karabin i zacznie uciekać. Ocknął się jednak: Tchórz! —

Są coraz bliżej lasu, prażąc z karabinów ukrytego poza brzozami nieprzyjaciela. Lasek zdobyty.

Kazik jest trochę rozczarowany: więc tak wygląda bitwa! Uczuwa jednak dumę, że już był w ogniu. Na mundurze widzi krew. Co to? Jest ranny? W ramieniu uczuje ból. Drobiazg, przecież swobodnie porusza ręką! Udał się na punkt opatrunkowy. Kula przeszła przez mięśnie, nie naruszając kości. Założono mu opatrunek. W chacie, gdzie pracowali lekarze, było dużo rannych. Kazik ze zgrozą patrzył na ich rozpłatane czaszki, pogruchotane nogi, ręce... Mdłości go porwały. Wybiegł pędem z chaty. — Jednak wojna jest straszna! — myślał — Tyle ludzi ginie, tyle ludzi cierpi! A ile wsi zniszczonych, ludność cywilna, kobiety, dzieci bez dachu nad głową. Jeszcze my jesteśmy usprawiedliwieni, bo walczymy o nasz kraj, o naszą wolność. Ale inne państwa? — Oparł rozpaloną głowę o zimny pień olchy i zatracił się w jakiemś dziwnem rozpamiętywaniu. W głowie huczało: poco, poco? Zaczął się modlić pocichu.

Noc przeszła spokojnie. Nazajutrz strzelanina. Patrole sanitarne znoszą ciężej rannych na punkty opatrunkowe, lżej ranni wloką się sami. W powietrzu huk armat i terkot karabinów maszynowych.

Kazik strzelał początkowo z dziwnym skurczem serca, myśląc, że za każdym jego strzałem ginie człowiek, potem już jak automat.

24 grudnia na rozkaz Austrjaków wojsko opuściło okopy. Nagle rozporządzenie cofnięto. Wybuchła gwałtowna strzelanina przy odbieraniu okopów. Wkrótce wszystko się uspokoiło. Biała mgła opadła na pola. Żołnierze przypomnieli sobie, że to przecież wigilja. Omroczył ich smutek i tęsknota. Zaczęli wspominać święta spędzone w domu. Starsi klęli Moskali i Austrjaków, młodsi zaciskali zęby, żeby się nie rozpłakać. Któryś zanucił kolędę, pochwycili ją inni. Po chwili całe okopy rozbrzmiewały pieśnią radosną chociaż serca były ściśnięte bólem. Od nieprzyjacielskiej strony dolatywał śpiew kolęd, śpiewanych... po polsku.

— Polacy tam, o Boże!

Kazik zerwał się jak oszalały. Myśli szarpały mózg, kłębiły się jak węże. Chwyciwszy wpół zaskoczonego tem Stacha i wstrząsając nim gwałtownie, krzyczał: — Tam nasi, słyszysz? My do nich... nie... to straszne! Tam nasi bracia!!!

Stach starał się go uspokoić, lecz sam czuł ciężar tej myśli, że tam, po drugiej stronie, także są Polacy.

— Ty, Szparag, nie wydzieraj się jak opętany! — krzyknął na Kazika jeden z żołnierzy. W głosie brzmiał gniew i łzy. Kazik umilkł, tylko w oczach paliło mu się gorączkowe pytanie. Z tamtej strony dolatywała melodja kolędy.

Gdy śpiewy umilkły, żołnierze zaczęli układać się na spoczynek. Na niektórych odcinkach rozlegała się strzelanina. Stach przysunął się do Kazika.

— Kazik, jakie to straszne!

Kazik milczał.

Kazik, czyś ty słyszał, o przepowiedni, kiedy Polska zmartwychwstanie?

— Nie, powiedz! —

— Mówią, że gdy Turek konie w Wiśle napoi, będzie Polska wolna.

— I tak będzie wolna. My ją wywalczymy. Komendant poprowadzi nas do zwycięstwa. Ja w to wierzę. — Nie może być, by tyle ludzkiej krwi i tyle ofiar poszło na marne Polska musi powstać! Wojna jednak jest zbrodnią. Jeśli wojna się skończy i jeśli Polska powstanie, to...

— To co?

— Trzeba będzie pracować, żeby już wojny nigdy nie było.

Oj, jakiś ty głupi, Kazik! Jeśli na nas napadną, to co? Powiedz sam!

— Będziemy się bronili. Trzeba będzie jednak tak zrobić, żeby na wojnę już nikt nie miał ochoty.

— Ehe, zrób tak! — mruknął Stach — Zawsze się znajdzie taka kanalja, co wyciągnie rękę po cudze. Może nie masz dowodów w historji. I nie bronić się wtedy, powiedz!

Trzeba będzie jednak pracować, — powtórzył swoje Kazik, zapadając w sen.

Wieczorem w pierwszy dzień Świąt Moskale przerwali front. Austrjacy wydali rozkaz odwrotu. Odwrót odbył się szybko, wśród gwizdu kul. Następnie śpieszny marsz. Żołnierze mają obiecany dłuższy odpoczynek, trzeba się tylko oddalić od linji frontu.

Nareszcie w Lipnicy odpczynek po czterech dniach tkwienia w okopach pod Łowczówkiem.

Żołnierze są ciągle pod wrażeniem bitwy. Opowiadają sobie o poległych towarzyszach, o ich czynach. Kwaterują po domach, mając czystą słomę i ciepło. Mogą wkońcu doprowadzić siebie do porządku. Wypowiadają zaciętą walkę wszom, które są ich plagą w okopach.

Kazik ze Stachem spędzali czas na rozmowach o przyszłej Polsce, o rodzinie, o aktualnych sprawach żołnierskich, a przedewszystkiem o Komendancie, który był dla nich najważniejszą osobą po Bogu.

W Lipnicy zastał ich rok 1915. Nuda zaczęła ich ogarniać, bezczynność dawała się we znaki. Rozbijali się za książkami, połykając je zachłannie. Na trzech Króli ruch się zrobił wśród żołnierzy. Przyszła spóźniona poczta świąteczna, listy od rodziny i paczki. Stach dostał paczkę od matki. Przysłała mu trochę świątecznego pieczywa, gruby, popielaty sweter i list pisany łzami. Stachowi też łzy stanęły w oczach — Biedne, kochane matczysko!

Kazik dostał list od wujostwa i paczkę bez adresu. Jeden z oficerów powiedział, że ci, którzy nie dostali paczek od rodzin, otrzymają po jednej z ogólnych, przysłanych przez rozmaitych ludzi dla legjonistów. Z wielkiem zaciekawieniem otwierał swoją paczkę. Na wierzchu list, dalej pudełko papierosów, paczka cukierków, ciepłe, włóczkowe rękawiczki i szalik na szyję. Uśmiechnął się. Coś miłego powiało na niego od tych drobiazgów — zapach domu. Ze wzruszeniem otworzył list. Drobne, równiutkie pismo:

„Nie wiem do kogo ta paczka dojdzie. Posyłam ją dla jednego z Was, Legjoniści, którzy walczycie za Ojczyznę. Wierzę, że Bóg za Waszą sprawą przywróci nam wolność.

Życzenia szczęśliwych dni pokoju i wolności.
Janka Walakówna.

Poniżej data z przed świąt i adres krakowski.

List ten wniósł niepokój w życie Kazika. Co parę godzin wyjmował go i odczytywał, starając się wyobrazić sobie postać, kolor oczu i włosów, głos Janki. — Janka, Janka! — to imię dźwięczało mu w uszach. Minęło parę dni. Stach był zdziwiony zmianą przyjaciela. Wkońcu dowiedział się o przyczynie.

Napisz do niej, Kaziku, przecież masz jej adres.

— Naprawdę, jaki jestem głupi! — uradował się Kazik.

List został wysłany. Treści jednak nie znał nikt, nawet Kazik dobrze nie pamiętał, co pisał w gorączkowem podnieceniu. Przypominał sobie, że pisał coś o swojej samotności, o tęsknocie za kimś bliskim, o swoich cierpieniach duchowych, wywoływanych strasznemi obrazami wojny. Prosił ją, żeby napisała o sobie, jak wygląda, ile ma lat, i czy nie mogłaby przysłać swojej fotografji. Niecierpliwie czekał odpowiedzi, aż Stach i inni koledzy zaczęli z niego kpić.

— Szparag zakochał się w pannie z Krakowa, a nie wie, jak wygląda.

Może jest stara i brzydka, łysa, bez zębów. Wojna się skończy, a on na skrzydłach miłości popłynie do niej, żeby jej paść do nóg i powiedzieć: Pani, zostań moją żoną! Ot tak! — pokazywał jakiś dowcipniś, —a tu wychodzi ci jakieś bóstwo pięćdziesięcioletnie!

Kazik nie słuchał więcej. Z zadrą w duszy odszedł w pole, gdzie brodził wśród śniegu i myślał o niej.

W połowie stycznia brygada odmaszerowała na dalszy odpoczynek. Austrjacy chcieli znów rzucić legjonistów na front. Sprzeciwił się temu Komendant, domagając się dla swoich zmęczonych żołnierzy dłuższego wypoczynku po półrocznych trudach i walkach. Sam zaś chciał zreorganizować zniszczone oddziały.

Po dziesięciu dniach marszów przez Myślenice, Kalwarję, Wadowice brygada weszła do Kęt. Komendant na rynku przyjął defiladę. Pierwszy pułk miał wyznaczoną kwaterę w miasteczku Wilamowicach. Znów zaczęły się dla wojska dni jednostajne. Wprowadzono ostry rygor. Żołnierze zorganizowali sobie życie, jak mogli i umieli.

Kazik dostał wreszcie upragniony list. Zaszył się w jakiś kąt, żeby go nikt nie widział. Zanim otworzył kopertę wyczuł pod palcami coś twardego — fotografja. Rozdarł niecierpliwie papier. Z dość dużej fotografji spojrzały na niego zadumane oczy, chyba niebieskie. Jasny warkocz przerzucony przez ramię, mundurek szkolny. List! — Pisała mu, że jej ojciec zginął na początku wojny, walcząc w austrjackich szeregach. Był nauczycielem. Została sama jedna z matką, rodzeństwa nie ma. Obecnie jest na ostatnim kursie seminarjum i ma lat siedemnaście. Dalej uwagi filozoficzne o ciężkiem położeniu Polaków, o swoich smutkach i nadziejach. Na końcu żartobliwy opis swojej osoby. Zaznaczyła, że na fotografji wygląda o wiele lepiej niż w rzeczywistości. Ma zadarty nos szerokie usta, tylko oczy ładne — tak mówią — duże, niebieskie i złote warkocze, z których jest dumna. Wreszcie prośba o fotografję.

Ten list przeniósł Kazika w zupełnie inny świat. Nie powiedział o nim nikomu, tylko w ukryciu odczytywał go parę razy dziennie. Natychmiast prawie odpisał, posyłając swoją małą fotografję w mundurze. I znów rozpoczęło się oczekiwanie na odpowiedź.

15 lutego w Kętach odbyła się uroczystość nadania austrjackich złotych i srebrnych medali za odwagę w bitwie pod Łowczówkiem. Deszcz padał od samego rana. Żołnierze klęli, że kazano im się ruszyć z obozów. Pułki stanęły na placu nad rzeką. Członkowie N. K. N. przybyli autem, Komendant ze sztabem konno. Wyróżnieni wystąpili z szeregów, wśród nich Kazik. Sam nie wiedział, jak to się stało, że on, a nie kto inny, został wyróżniony. Komendant miał krótkie przemówienie, zaznaczając, że wszyscy zdobyli sobie uznanie za waleczność, a tylko niektórzy, jakby przypadkowo, zostali dekorowani. Po uroczystości przegląd wojska.

Powrót do Wilamowic. Żołnierze odpinają austrjackie medale, oni ich nie będą nosić.



Nie walczą dla Austrjaków, walczą tylko dla siebie.

Imieniny Komendanta obchodzono bardzo uroczyście. Delegaci pułków składali życzenia. Komendant zaprosił ich na przyjęcie. Żołnierze strzelali na wiwat, wołając: hurra!!! W kilka dni później przyszła wieść, że Przemyśl zdobyty przez Moskali. W okopach przygnębienie.

Kazik znów dostał list od Janki. Czytał z radością jej słowa, które mu przynosiły spokój. Tkwienie w okopach dało mu się porządnie we znaki. Ciągle to samo. Od czasu do czasu strzelanina, pozatem nudy, nudy. Na świecie robiło się pięknie. Słońce tak grzało jak w lecie. Żołnierze siadywali przed okopami. Co jakiś czas zmieniano mieszkańców okopów. Jeden bataljon jako rezerwa szedł na spoczynek do wsi, a inny zajmował jego miejsce. Kazik wolał już nawet pobyt w okopach niż w ciasnych, brudnych kwaterach na wsi.

Święta Wielkanocne spędzili w okopach. Przed samemi świętami wysłał gruby list do Janki. Był to rodzaj pamiętnika, w którym spisywał swoje wrażenia i przeżycia. Od niej dostał życzenia na kartce. Czuł żal, że nie napisała mu długiego listu.

Koniec kwietnia. Na świecie wiosna w pełni, drzewa owocowe kwitną, łąki nad Nidą pokryte białem kwieciem.

Austrjacy i Niemcy przygotowują ofenzywę w Galicji. Legjony otrzymują rozkaz, aby markowali atak. Chodzi o to, żeby Moskale nie mogli rezerw przerzucić do Galicji. Przez dwie noce była strzelanina. Armaty huczały nieustannie. Na niektórych odcinkach Moskale przypuścili atak, który trzeba było odeprzeć. Kazik właśnie należał do tych, którzy atak odpierali. Walczył dzielnie jednak z jakąś odwagą skazańca. Zdawało mu się, że musi zginąć. Od pewnego czasu miał przeczucie śmierci. Po wściekłym ataku zapanował znów spokój. Chodzą wieści, że Austrjacy i Niemcy sprali Moskali w Galicji, codziennie niemal oczekuje się ich odwrotu. Czasem chłopcy zaczynają strzelaninę, żeby zobaczyć, czy przypadkowo nie odeszli. Narazie zawsze odpowiadają strzałami, a więc są.

11 maja spostrzeżono, że Moskali już w okopach niema. Wycofali się pod osłoną artylerji. Legjoniści przechodzą Nidę i zajmują okopy nieprzyjacielskie.

W kilka dni później następuje marsz za Moskalami. Żołnierze po długim pobycie w okopach maszerują świetnie, pragnąc jak najprędzej dogonić nieprzyjaciela. Dopiero jednak 17 maja dopadli do tyłów jego wojsk. Pod Konarami dochodzi do bitwy. Stach z Kazikiem z pierwszym pułkiem idą do boju. Kazik walczy dziwnie niechętnie. Wśród dymu i huku jawi mu się ciągle wizja dzieciństwa, obraz nieżyjącej matki i ojca. Odsuwa od siebie te majaki, starając się zwrócić całą uwagę na bitwę. Napróżno! Myśl ciągle ucieka od ponurej rzeczywistości. Nagle słyszy zdaleka szum lecącego pocisku. Oblewa go zimny pot. Szrapnel pęka z hukiem, odłamki sypią się zgóry. Kazik w pewnym ułamku sekundy spostrzega, że leży na ziemi. Nie wie, jak to się stało. Jest mu zupełnie dobrze, gdzieś wdali dzwonią dzwony, ogarnia go słodka senność. Nie wiedzieć skąd, tuż przed nim staje smukła postać dziewczęcia i uśmiecha się oczami Janki.

— Przyszłaś, nareszcie przyszłaś — szepce Kazik ledwie dosłyszalnie. — Tak długo czekałem. Postać klęka przy nim i pochyla się nisko. Chłopak przymyka oczy, czuje na powiekach jakby lekkie dotknięcie. Zdaje mu się, że odchodzi gdzieś bardzo daleko. Twarz zastygła w wszystkowiedzącym uśmiechu...

Janka z niecierpiwością i niepokojem czekała na odpowiedź Kazika. Ten chłopak, którego zna tylko z fotografji jest jej bardzo bliski. Śledzi z uwagą drogę legjonów, żeby wiedzieć, gdzie on jest, a wiadomości są bardzo skąpe. Sam Kazik pisze tylko o swojem życiu wewnętrznem, czasem ostrożnie, niewyraźnie napomknie o ich położeniu i walkach. Ach ta cenzura, nie wolno im pisać wszystkiego.

Jednego dnia w połowie czerwca wybiegła Janka na dzwonek do przedpokoju i z radością powitała listonosza. Podał jej list, pisany przez nią do Kazika.

— Co to? Dlaczego?

Zbladła jak ściana. Z rąk wypadł list na podłogę.

— Są jakie listy, dziecko? — zapytała matka.

Lecz równocześnie spostrzegła list, podniosła go z podłogi. Na brzegu koperty ołówkiem napisane słowa: Kazimierz Morawski zginął dnia 17 maja pod Konarami

Jadwiga Bilwin



WODZOWIE NARODU

Stanisław Wyspiański, spadkobierca myśli nowej »Wielkiej Trójcy« romantycznej, Cyprjana Norwida i tych wszystkich, którzy jak Skarga karcili naród za winy popełnione, obrał za punkt wyjścia dla wszystkich swych wielkich zamierzeń i czynów powierzchnię o kilkunastu metrach kwadratowych, scenę teatru w Krakowie.

Wierzył mimo wszystko w ukochany Kraków, w którego dzwonów poszumie wychował się, który wysłał pierwsze szeregi nowych, cichych żołnierzy — bohaterów, którzy szli i walczyli tak długo, aż marzenie stało się rzeczywistością.

Niewielka scena teatru zmieniała się pod jego genjalną ręką to w izbę wiejską, to w świetlicę władyki śmiałego, to w katedrę — świątynię wawelską, w bazylikę św. Piotra, to we Forum Romanum lub zaułki miasta Warszawy, Belweder, szkołę podchorążych, w starożytne Iljum trojańskie — a ze wszystkich tych scen padały słowa wzniosłe, chłoszczące warcholstwo i wszelkie zło panujące w narodzie. Miały one na celu poprawę wszystkich i wszystkiego, obudzenie z letargu, postanowienie czynu, wskrzeszenie Ojczyzny.

Ze sceny duch poety nawoływał do opamiętania, zawstydzał i w sumienia się wżerał, krzycząc w rozpaczy do drzemiących obywateli. Chciał aby cały naród naraz wstydem zapłonął, aby cały zrozumiał, że trzeba coś począć, aby cały, skupiwszy się, runął w bój.

Jednak wątłe ciało nie sprostało duchowi, który uleciał zostawiając w spuściźnie rodakom słowa wieszcze zawarte w utworach.

— — — — — — — — —

Ale był taki, który te słowa zrozumiał i w czyn je wprowadził, gdyż był ożywiony tym samym duchem, do tego samego oddawna nawołującym. —

Tak, to On, Józef Piłsudski zbudował wielki Teatr, którego sceną była cała Polska a widownią cały świat europejski. Od wybuchu wojny począwszy, na terenie Polski byliśmy aktorami rozgrywającymi wielki czyn na teatrum dziejowem, gdzie szły zapasy o wolność, o ducha narodowego. I Duch Polski powstał wielki, potężny, roztoczył władzę i rozpoczął nowe życie zrzuciwszy kajdany nałożone przez ciemiężycieli. Tak skończył się pierwszy akt wielkiego dramatu, którego reżyserem był Józef Piłsudski.

W drugim akcie pod kierunkiem Wodza-Budowniczego należy nam oczyścić się z naleciałości i wad, które wskazał nasz Nauczyciel-Poeta, a które były pozostałością po obcych i wrogich reżyserach rozkazujących nam tańczyć w takt fałszywej muzyki, jak nam to przedstawił w »Weselu« Stanisław Wyspiański.

Mając wzniosłe słowa, przykłady i czyny tych dwóch przywódców narodu, powinniśmy się otrząsnąć ze wszystkiego, co nam przeszkadza na drodze do potęgi i chwały. Słuchając z za świata słów poety i żyjącego Wodza-Oswobodziciela rozkazy wypełniając, bezwątpienia zajdziemy na słoneczne szczyty przeznaczone przez Stwórcę na wieczne mieszkanie dla naszej Ojczyzny.

Bolesław Karpiński.

DLACZEGO ZREZYGNOWALIŚMY Z CHALLENGE'U?

Niejednemu nasuwa się myśl — szkoda! Przecież dwukrotnie byliśmy zwycięzcami w walce narodów w przestworzach. Któż jest w stanie zapomnieć pierwszego entuzjazmu, a później tragicznej chwili ogłoszonej na falach polskiego eteru — »Por. Żwirko i Inż. Wigura zginęli w katastrofie lotniczej«. Następne lata ukoiły tę ranę — przedewszystkiem zaś Kpt. Jerzy Bajan, przez swój zwycięski lot.

Decyzja zrezygnowania z przysługującego prawa organizacji w roku 1936 Challenge'u zapadła. Cóż jest więc powodem?

Wytężona praca konstruktorów, pilotów i robotników, dzięki wysiłkom całego społeczeństwa — przy planowej akcji władz i in-

stytucyj lotniczych spowodowała, że typy samolotów polskich i silników lotniczych, wyprodukowane w kraju są doskonałe, a w poszczególnych wypadkach najlepsze. W tej dziedzinie zostały osiągnięte wyniki szczytowe, które wystarczą nam na szereg lat.

Praca ta jednak absorbowała nasz wysiłek tak kosztowny, jedynie w tym kierunku. Osiągnęliśmy rezultaty wielkie, jednak z uszczerbkiem dla całego lotnictwa sportowego.

Znikoma ilość ośrodków nauki pilotażu, brak samolotów klubowych, zupełny prawie brak samolotów prywatnych, skromna ilość pilotów turystycznych i trudności jakie musi przezwyciężać kandydat, aby stać się jednym z tych wybranych, którzy mają możność nauczania się pilotażu, słabo rozgałęziona i po większej części pozbawiona koniecznych urządzeń sieć lotnisk sportowych, ciągły brak środków finansowych na najskromniejsze inwestycje zmierzające do poprawy tego rodzaju sytuacji, brak produkcji masowej samolotów i silników — przedstawia nasz stan lotnictwa sportowego wręcz niepokojąco i sprawia, że pod tym względem jesteśmy na jednem z ostatnich miejsc.

Anglja projektuje podniesienie budżetu na odnowienie lotnictwa do wysokości 18.200.000.000 — ilość samolotów sportowych do 1.215, ilość pilotów cywilnych — 7.500.

Francja — do wysokości 600.000.000 — 1.700 samolotów sportowych i 1.000 rocznie szkolonych pilotów.

Niemcy przewidują budżet lotnictwa cywilnego w wysokości 445 miljonów — samolotów sportowych 1000, przy wyszkoleniu 10.000 pilotów.

Włochy przewidują w budżecie 318 miljonów — i ilość szkolonych pilotów sportowych rocznie 1.800.

Jak bardzo ubogo pod tym względem przedstawia się Polska. Budżet lotnictwa cywilnego wyrażony jest w kwocie 17 miljonów zł. — ilość samolotów sportowych niżej 100, ilość pilotów szkolonych rocznie około 15.

Rozważanie powyższych okoliczności ukazuje w całej pełni nierównomierność pomiędzy stanem jakościowym a ilościowym.

W tych warunkach dalsze angażowanie wszystkich sił na przeciąg 2-ch lat celem stworzenia przeznaczonych na Challenge samolotów i silników, co oznacza jednocześnie zaniechanie prac, zmierzających do rozpowszechnienia i utrwalenia osiągniętych zdobyczy, byłoby bardzo nieproduktywne.

Społeczeństwo, które wykazało wielkie zrozumienie idei lotniczej, musi być przekonane o konieczności zmiany w kierunku pracy. Rozpoczęta akcja zbiórkowa na zawody 1936 r. musi trwać dalej, ustawać nam nie wolno. Będzie ona zużytkowana w jak najbardziej celowy sposób. Zamiast fundowania samolotów challenge'owych rozpocznie się akcja mająca na celu masowe szkolenie pilotów i seryjną produkcję samolotów i silników, czyli rozbudowę lotnictwa wszerz.

Hasłem naszem dominującem musi się stać: **»Uczmy się latać, byśmy znów po kilku latach zrównali się z państwami innemi, które nas w tym wypadku bardzo wyprzedziły«**

Cicho i smutno... Fioletem zakryte
Ołtarze Pańskie, opuszczone, nagie...
Nie widać kwiatów... Głos dzwonków srebrzysty
Zmilknął...
Cień jakiś snuje się wśród nawy.
Bledziuchny promyk pożółkłego słońca
Na ściany kładzie pocałunek czysty
i znika trwożnie...
Od konfesjonału
Zboku, bolesne dolata westchnienie...
Łzawa modlitwa — jak balsam kojąca
Warg szeptem płynie pod strop...
W cierń spowite
Skronie Chrystusa ku ziemi się chylą...
Jakaś staruszka powoli, ostrożnie,
Wdowi grosz wciska w żelazną skarbonkę,
Żegna się, klęka, całuje kamienie...
Cisza... przemknęły znowu jakieś cienie
I znikły...
Lampka wieczna jeno mruga,
Chwieje się płomyk, podnosi, opada...
Twarz Chrystusowa znękana i blada
W półmroku

Zda się ożywiać na chwilę...
Zdają się wznosić przymknięte powieki,
Oczy — świątynię obejmują całą,
Zadrżały wargi... płomyk lampki miga
I szept skądś spływa:
„Już się dokonało...“

Stefan Krasiński.

Ś. P. ZOFJA Z PIŁSUDSKICH KADENACOWA

Dnia 3 lutego zmarła w Warszawie, w szpitalu Im. Marszałka Piłsudskiego, przeżywszy lat 70, Ś. p. Zofja Kadenacowa, ukochana siostra Marszałka Piłsudskiego. 6-II. odbyła się eksportacja zwłok ze szpitala na Dworzec Główny, a 8-go tegoż miesiąca pogrzeb na cmentarzu wileńskim, w którym wzięła udział zbolała rodzina zmarłej z Marszałkiem na czele oraz liczni przedstawiciele Rządu.

Urodzona 12 czerwca 1865 r. Ś. p. Zofja spędziła lata dziecinne w Żułowie na Żmudzi. Przez następne lata przebywała przeważnie w Wilnie, pomagając dzielnie P. Marji Piłsudskiej w prowadzeniu dużego domu. Po śmierci Matki przyjmuje na swoje barki cały ciężar wychowania młodszego rodzeństwa. Będąc wzorową córką i siostrą, po wejściu w związek małżeński z doktorem medycyny Belesławem Kadenacy, staje się idealną żoną i matką. Z chwilą wybuchu wojny światowej owdowiała Ś. p. Zofja żegna trzech synów wstępujących do armji polskiej, sama zaś z córkami walczy z losem w Wilnie. Z chwilą wkroczenia zwycięskich wojsk Marszałka Piłsudskiego do Wilna dom Ś. p. Zofji Kadenacowej staje się centrum elity niepodległościowej.



Fot. Pikiel. Wojsk Inst. Nauk. Wyd. Warszawa.

Na specjalną uwagę zasługuje stosunek Ś. p. Zofji do brata, Józefa Piłsudskiego. Charakteryzuje się on niemal macierzyńskiem uczuciem, zachowanem niezmiennie do końca życia. Ona to była Mu jasnym promieniem w chwilach zesłania na Sybir, utrzymując drogą korespondencji stały stosunek z ukochanym Bratem.

— — — — — —

Cześć pamięci tej cichej bohaterce życia rodzinnego, która umiała dokoła siebie roztaczać jedynie promienną dobroć i miłość kobiecego serca, posuniętą aż do heroizmu.

Na samotnej drodze

Idę nocą
samotną drogą wśród pól.
Wicher targa gałęźmi drzew.
Z za mgły daleko latarnie się migocą,
wzywają kogoś sennem mruganiem
nie wiedzieć dokąd.
Czyj to jest śpiew?
Kto wzywa mnie wołaniem?
Czyjże to ból
zamknięty w zimnych kroplach dżdżu?

Spadają takie duże na twarz,
jak pocałunki umarłych ust.
Przemknął się cień i tam i tu,
zadrżały zadziwione drzewa.
Wiem — że to Ty!
Przyszedłeś do mnie, Boże, na samotną drogę,
gdzie wicher nocą trzyma straż,
i skąd daleko widać, jak latarnie migocą.

Jadwiga Bilwin.

DWIE ROCZNICE

Dziwnym trafem myśl ludzka — ten najbardziej wewnętrzny i samodzielny motor poczynań człowieka — jest w ścisłej zależności od zjawisk czysto zewnętrznych, które niejednokrotnie narzucają nam poprostu pewne przeżycia. Często więc stajemy wobec faktu oddziałania spraw obojętnie zewnętrznych na wydźwignięcie człowieka ze sfery przyziemnej codzienności do stratosfery odświętnych przeżyć duchowych.

Taką rolę odgrywają obliczenia wszelkiego rodzaju rocznic.

W lutym b. r. cały świat kulturalny obchodził w podniosłym nastroju dwie rocznice ze świata przeżyć artystycznych, ze świata muzyki. 125-ta rocznica urodzin Fryderyka Chopina i 250-lecie przyjścia na świat Jerzego Fryderyka Haendla. Jedni obliczyli i rzucili hasło: »rocznica«. Drudzy zorganizowali uroczyste koncerty. Inni napisali odpowiednie artykuły i wygłosili odczyty. A miljony ludzi przeżyły wzruszenia artystyczne i odczuły wyraźniej wpływ muzyki na swoją psychikę. I wszystko na znak dany zgóry, jakgdyby na rozkaz.

Czy istotnie wielki artysta musi czekać na 100-ną czy X-tą rocznicę urodzin swoich czy śmierci, aby znaleźć oddźwięk w tłumach »kibiców« swojej sztuki? Czy nie większem świętem zespolenia ducha artysty z szarym tłumem jest każdorazowe artystyczne odtworzenie jego dzieła, jakgdyby kontakt bezpośredni między dwoma światami?

Pytanie ściśle retoryczne. Wiemy, że rocznice mają własną swoją wymowę i roli ich lekceważyć nie można.

Haendel — Chopin. Dwaj ludzie — dwie epoki — dwa światy. Daty ich urodzin dzieli lat 125. Charakter ich muzyki dzieli przestrzeń dużo większa.

Każda epoka ma swoje własne oblicze, odbijające się mniej lub więcej wyraźnie w twórczości wszystkich artystów, mimo różnic indywidualnych, jakie między nimi zachodzą. Najczęściej zaś ogólny charakter epoki krystalizuje się ostatecznie w dziełach najwybitniejszego artysty. Haendel jest idealnym reprezentantem swojej epoki — Chopin niesłychanem przesubtelnieniem i wrażliwością wyprzedził swoją conajmniej o pół wieku.

Bo Haendel żyje pełnią życia, łącząc w sobie cechy wielkiego artysty i zdrowego, normalnego człowieka. Chopin — to przedewszyskiem artysta przesubtelniony i nadmiernie wrażliwy w zetknięciu z tłumem ludzkim.

Zasadniczo różne sylwetki psychologiczne na tle różnych epok — dwa światy natchnień i twórczości artystycznej.

Chechy charakterystyczne muzyki obydwu?

U Haendla — monumentalny charakter, imponująca śmiałość konstrukcji, ostro zarysowane kontury melodji, bezpośredniość wyrazu, wybitna śpiewność bez wszelkiej miękko-

ści, naturalny postęp głosów o nieco barokowej ornamentyce, bez wymuszenia i kontrapunktycznej spekulacji, harmonja pełna i soczysta. Opery, monumentalne oratorja, wielkie koncerty, snity, fugi, sonaty. Kompozycje wokalne i muzyka instrumentalna.

U Chopina — wytworność i wdzięk niesłychanie subtelny, wyrafinowana kultura i panowanie nad formą nawet w chwilach najwyższego napięcia uczuciowego, muzyka o charakterze impresyjnym na tle osobistych przeżyć psychicznych, rewolucjonizm harmonji, subtelna i skomplikowana rytmika, finezyjna ornamentyka, miękkość i liryzm obok impulsywnej i bezpośredniej mocy natchnienia, nadającej muzyce jego charakter improwizacji. Minjatura fortepianowa, siłą subjektywizmu i odrębności świadcząca o wielkości artysty.

A w życiu codziennem? Chopin trawiony chorobą, nadmiernie przeczulony, silnie reagujący na najlżejsze podmuchy zmiennych wiatrów losu, odczuwając głęboko tragedje własnego życia i Ojczyzny, żyje i tworzy w chorobliwem, męczącem napięciu.

Haendel zdrowy fizycznie, bezwzględny wobec siebie i innych, umie wywalczyć sobie miejsce na arenie życia. Pracuje z niesłychanym zapałem, nie licząc się z żadnemi przeszkodami, które zwycięża choćby miał użyć środków najbrutalniejszych.

Charakterystyczny fragment z czasów jego pobytu w Anglji, gdzie przez lat 20 zrzędu kierował operą włoską.

12 stycznia 1723 r. miała się odbyć premjera opery jego p. t. »Ottone« (dziś »Otto i Teofano«). Teatr wysprzedany do ostatniego miejsca. Haendel ma dyrygować orkiestrą. Nagle zawiadamiają go, że artystka występująca w głównej roli Francesca Cuzzoni z powodu przeziębienia absolutnie śpiewać nie może. Haendel uświadamia sobie, że istotnie podczas próby generalnej uprzedzała go już ona o tem, niemniej wybiega z teatru, wpada do pokoju chorej i głosem podniesionym grozi jej wyrzuceniem przez okno, jeżeli natychmiast nie wypełni jego żądania i nie uda się z nim do gmachu Opery.

— Operę rozpoczęto z małem opóźnieniem, ale Cuzzoni śpiewała i »Ottone« osiągnął pełny sukces.

Albo: Słynny śpiewak włoski Antonio Bernaechi oświadczył Haendlowi na próbie, że stanowczo nie może z pełnem odczuciem śpiewać ognistej »arji przy winie«, widząc przed sobą na stole kielichy z wodą. Musi mieć dobre wino. Na to odparł Haendel: »Zupełnie Pana rozumiem. Dziś już będzie Pan miał na scene najlepszy szampan. Przypominam jednak, że w jutrzejszej premjerze pije Pan truciznę, ze względu na słuszność Pańskich argumentów, będę musiał postarać się o coś opowiedniego«. — Podobno śpiewak zadowolił się tego wieczoru wodą, ale wychodząc z pokoju dyrektora opery nie bardzo cicho zamknął za sobą drzwi.

Takie sobie dwa fragmenty drobne, a charakterystyczne.

Czy muzyka Chopina może w czemkolwiek przypominać twórczość Haendla?

Marja Tarczewska.

Marzenie o wiośnie

Jakżebym chciała, by pewnego ranka
Do mego okna zapukało słońce,
I by promienie, złotej wiosny gońce
Prześliczne kwiaty wiły do jej wianka.
A gdy ulicą iść będę do klasy,
Niech moje oczy nie zobaczą śniegu
I niechaj wiosna w swym radosnym biegu
Zarzuci siatkę zieloną na lasy.
I takbym chciała, by choć w małych kęsach
Błękitne niebo poprzez okien szyby
Na moją ławkę spojrzało i żeby
Słońce igrało na spuszczonych rzęsach.
Niech przebrzmi piosnka zimowa, żałosna,
Niechaj słowiki śpiewają już w gajach
I srebrne fale niech szemrzą w ruczajach.
Ja chcę: niech będzie wiosna, wiosna, wiosna!

W. P.

Jutro

dział samodzielnie przez młodzież redagowany

WODZOWI NASZEMU

...Spojrzałeś w dawnej Polski dzieje,
W Jej chwałę Ciebie poniosły marzenia...
Zbudził się w Tobie duch Praojców naszych,
Narodu rozkwitły nadzieje
Długą udręką tłumione niewoli,
znaczone męką lochów i Sybiru,
Wspomnienia...
Wizja skrzydlatej husarji powstała
Jak sen prześniony...
W dłoń Swą żołnierską ująłeś szablicę,
Białego Orła odmotałeś z kiru
I ukochaniem potężnem i czystem
rzuciłeś w bój Polskie Legjony!

Dzisiaj — gdy lata minęły, o Wodzu!
Gdy chylisz srebrem przypruszone skronie,
W dniu Twych Imienin gcrące życzenia
Przyjmij
Przez setki serc polskich złożone
Poszumem wichrów z ponad morskiej toni,
Echem gór naszych, co o Tobie gada,
Poleskich jezior taflą nieruchomą,
Zbóż nadwiślańskich złotem w kwiatów woni
I wiedz — że zawsze jesteśmy gotowi...
Wpatrzeni w Jutra skryte tajemnice,
Nęci nas Wolność — ale nie wawrzyny,
Na każdy zew Twój spuścimy przyłbice,
Wierne Ci syny...

K. S.

Gimnazjum SS. Urszulanek w Kołomyi nr. 663

I. Sprawozdanie z działalności Koła L. O. P. P.

Koło L. O. P. P. w naszem Gimnazjum istnieje już od lat kilku. Lecz dopiero w tym roku zatętniło pełnem życiem i z zapałem zabrało się do pracy.

Nowe członkinie przybywają z dniem każdym — a liczba ich dochodzi obecnie do 150.

By praca była bardziej ożywiona i różnorodna, z początkiem roku szkolnego utworzyłyśmy trzy sekcje: *1). miłośniczek L. O. P. P.-u; 2). modelarską i 3). imprezową.*

Pierwsza ma za zadanie odbywać zebrania raz na miesiąc, na których omawia się książki, powieści i pisma lotnicze oraz wiadomości bieżące.

Druga odbyła już kurs modelarski, sporządzając kilka pięknych modeli na dzień 11 listopada. Trzy takie samoloty ofiarowała sekcja w dniu imienin M. Dyrektorce.

Sekcja imprezowa zajęła się urządzeniem »Wieczoru lotniczego«.

Podczas Challenge'u żywo interesowałyśmy się wiadomościami z zawodów. Wieść o zwycięstwie naszych przyjęłyśmy z ogromnym entuzjazmem — podobnie jak cała Polska: od morza do Tatr — od Śląska po Kresy Wschodnie.

W przedostatnim dniu zawodów w oczekiwaniu wyniku wysłałyśmy telegram do Aeroklubu Polskiego — ze słowami: »Wierzymy w Wasze zwycięstwo«. I naturalnie, nie omyliłyśmy się, serca bowiem nasze przeczuły, że Opatrzność Boża pomoże naszym lotnikom.

By godnie uczcić ten tak ważny moment w rozwoju naszego Państwa, postanowiłyśmy własną pracą zebrać choć drobną kwotę i przeznaczyć ją na fundację Żwirki i Wigury, by w ten sposób wziąć udział już bardziej bezpośredni w Challenge'u 1936 r.

I rzeczywiście w ostatnim dniu roku 1934 wysłałyśmy wraz z życzeniami noworocznemi do Głównego Zarządu L. O. P. P. sumę 200 zł. Złożył się na nią trud złączony z wydaniem »Jednodniówki Lotniczej« w październiku oraz — z urządzeniem Wieczoru lotniczego w listopadzie ub. roku.

Spełniając oba te czyny miałyśmy na względzie nietylko stronę materjalną, ale przedewszystkiem ideową.

O wszystkich naszych poczynaniach powiadamiałyśmy Główny Zarząd L. O. P. P. w Warszawie, który killkakrotnie zaszczycił nas swoją odpowiedzią.

Jedną z nich załączamy do niniejszego sprawozdania.

Obecnie pracujemy głównie w »Sekcji Miłośniczek L. O. P. P.-u« układając specjalny dla tej sekcji statut, który sprecyzuje i dokładnie określi kierunek naszej pracy; chodzi nam bowiem o wyrobienie w sekcji członkiń szczególnie oddanych i rozmiłowanych w sprawach lotnictwa.

Dzidka Żerebecka VI. kl.
Skarbniczka L. O. P. P. Kołomyja



Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej
Zarząd główny

Warszawa, d. 30 września 1934 r.
№ 13983 (T K) E W

Potwierdzając odbiór pisma Koła Szkolnego L. O. P. P. przy Gimnazjum S. S. Urszulanek w Kołomyi z dnia 21. IX. 34. r. Zarząd Główny L. O. P. P. poczuwa się do miłego obowiązku wyrażenia swego zadowolenia i podziękowania za wysoce obywatelskie stanowisko członkiń tamtejszego Koła L. O. P. P. oraz komunikuje, że projekty Koła będą rozpatrzone przez Zarząd Główny L. O. P. P.

Z poważaniem
Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej.

Zarząd Główny.

Sekretarz	*Prezes*
Adam Wojtyga	*Inż. Leon Berbecki*
Mjr pil.	*Gen.-Dyw.*

Wieczór L. O. P. P.-u

Ruch, gwar, krzyk, pośpiech, „latanina" po korytarzach szkolnych, nerwowe ruchy, nieznaczne sprzeczki; to wszystko charakteryzuje okres przedimprezowy w naszej,dotychczas poważnej, „budzie". Przygotowywałyśmy się na dzień 11. XI. W uroczystości wzięła udział cała szkoła nie wyłączając szkoły powszechnej.

Imprezą z ciekawości zajmowali się wszyscy, tak profesorowie jak i uczennice. A już ostatnie dni przed uroczystością były „pełne nerwów", które z nieprzepartą siłą dążyły do wyładowania się. Po południu uczennice zbierały się na próby przedstawień, baletu, rytmiki. Przy fortepianach rozlegał się dźwięk „srebrnych" głosików.

Wreszcie nadszedł dzień 11 listopada wytęskniony, wymarzony przez zapalone członkinie L. O. P. P., które imprezę zorganizowały. I trzeba przyznać, że się „wysadziły".

Pierwsza część wieczoru rozpoczęta poważnem „Gaude Mater", na 4 głosy, zrobiła imponujące wrażenie, a pięknie wykonana inscenizacja „Ody do młodości", w złocistych tunikach, oczarowała nas. Przy słowach: „razem młodzi przyjaciele" łzy cisnęły się do oczu, pięści mimowoli zaciskały, a serce rwało się do czynu. Nie mogę też pominąć milczeniem artystycznie wykonanej deklamacji wiersza Jerzego Kączkowskiego p. t. „Start i lot" oraz recytacji wyjątków ze „Skrzydlatego chłopca" Makuszyńskiego. Świetnie też odegrał swoją rolę „major Latysz". Ta część programu ekspresją i siłą słowa zatrzymywała wprost dech w piersiach.

Druga część uroczystości była znowu w „swoim guście": Tańce i śpiewy budziły podziw oryginalnością. Ogromnem powodzeniem cieszył się ostatni punkt programu „taniec L. O. P. P.", który wykonały cztery uczennice z V. kl. w odpowiednich strojach i biało-czerwonych pilotkach; w ruchach swoich naśladowały lecący samolot. Efekt końcowy tego punktu polegał na tem, że w ostatniej figurze odwróciwszy się nagle od publiczności odsłoniły napis L. O. P. P.

Całością byłyśmy zachwycone. Jednem słowem wysiłki nie poszły na marne, bo wszystko udało się doskonale. Trudno mi pominąć pewne dziwne zjawisko, oto „reflektor" oświetlający scenę często wpadał w zachwyt, zapominając o odpowiedniej zmianie kolorów. Ale to był drobiazg wobec tak pomysłowego programu. Po akademji aktorkom i reżyserom spadło pół ciężaru z serca, a druga



połowa miała zniknąć dopiero po 18-tym XI, kiedy to powtórzono ten sam program jako „Wieczór lotniczy" dla miasta. Uznanie ze strony gości było jednogłośne, a wyraził je w bardzo szczerych słowach p. Dr. Niemiec, wiceprezes Obwodu Kołomyjskiego L. O. P. P., podkreślając w przemowie swojej wysoki poziom estetyczny wieczoru oraz zapoczątkowanie przez naszą szkołę na terenie kołomyjskim akcji zbiórki na rzecz Challenge'u w 1936 r.

Wypadałoby też coś powiedzieć o dekoracji, która była nadzwyczaj oryginalna i pracowita. Przedewszystkiem sala była wypełniona samolocikami; jedne w kolorach tęczy zdobiły ściany, inne sporządzone przez sekcję modelarską na dzień 11. XI. zwisały z sufitu, a jeszcze inne lśniły w witrażach i abażurach wśród niebieskch, czerwonych i żółtych promieni. Ściana główna sceny przedstawiała trójmotorowy aeroplan unoszący się w chmurach ponad ciemną plamą ziemi. Ściany boczne przyciągały wzrok flagami o barwach narodowych i aeroklubu polskiego. Obchodząc w tym roku 16-ą rocznicę Niepodległości Państwa Polskiego, oddałyśmy przedewszystkiem cześć „Polsce Skrzydlatej", która myśli nasze odrywa od ziemi, unosi ku górze i tam każe nam szukać ideałów, wołając: „młodości, ty nad poziomy wylatuj, a okiem słońca całe ogromy ludzkości ogarnij z końca do końca".

Janka Wójcikówna, kl. VIII.

ZA ŻYCZENIA, PRZESŁANE Z OKAZJI WYNIKU OSIĄGNIĘTEGO W MIĘDZYNARODOWYM TURNIEJU LOTNICZYM „CHALLENGE 1934" SERDECZNIE DZIĘKUJĘ.



JERZY BAJAN KPT. PIL.

L O T N I K U!

Lotniku! Rośniesz w dumę z pobitych rekordów,
Lecisz coraz wyżej, coraz dalej,
Coraz zuchwalej!
Na skrzydłach krajowej, doskonałej marki
Czujesz się panem nad światem malejącym wdole.
Ogłusza cię warkot motoru burzami akordów
Potężnych, głoszących sławę. Prąd powietrza wartki,
Ostry, tnie cię w twarz, miljonem igieł cię kole,
Upaja, podnieca! Zdwajasz, pomnażasz
Szybkość lotu i tak nikomu niedościgłą
I lecisz! Powietrze roździera twe śmigło,
Wspaniały, zwinny twój ptak ze świstem je pruje
I lecisz! Cel coraz bliżej! Wytrwasz! Wiesz, że zwyciężysz!
Pierś ci się od radości dzikiej, żywiołowej pręży:
Zwyciężysz i poprzez tysiączne witające cię tłumy
Wykrzykniesz: Polsko! Wszystko dla Twojej sławy i dumy!

Irena Zakrzewska

SKRZYDLATEJ POLSCE CZEŚĆ!

Tęsknił za lotem w obłoki;
Nęcił go przestwór szeroki;
Rwało go wszystko wzwyż,
Gnał go podniebny lot.
Już samolot w niebieską przestrzeń się wspina
Jako zwycięski ptak.
To RWD nasza polska maszyna.
I srebrny ptak w przestworze
Się wzbił; i wzleciał wzwyż
Turkotem głosząc wieść:
»Polsce skrzydlatej cześć!«

Ola Stawiarczykówna.

MORCINEK I JA

»Morcinek przyjeżdża! W niedzielę wygłosi odczyt w gmachu uniwersyteckim«.

Co za niedorzeczny pomysł używać do afiszów czerwonych farb! One to sprawiły, że w pierwszy dzień po przebytej grypie, na nowo uczułam kłucie w oczach, szum w uszach i... palpitację serca. One to sprawiły, że pod czaszką zrodziła się myśl, nietylko usłyszenia Morcinka na odczycie, ale rozmawiania z nim samym. One to, te krzyczące, szkarłatne barwy, tkwiące z uporem w zwojach mózgowych, były powodem, że przez całe popołudnie telefon mój nie miał chwili wytchnienia i odpoczynku. Ba, gdyby tylko on! — ale i ci wszyscy, związani z czemś, co pachnie uniwersytetem, oni też nie doznali spokoju owej soboty. Zarzucałam ich niezliczonemi i niedorzecznemi pytaniami, aby się czegoś dowiedzieć o miejscu zatrzymania się p. Morcinka. Zresztą bezskutecznie. Widocznie to jeno Królestwo Niebieskie szturmem się zdobywa. Moje ziemskie wysiłki nanic się zdały.

Ale po przespanej nocy powróciła płocha i niemądra nadzieja. Podyktowała mi list do autora »Śląska« i w czasie odczytu szeptała do ucha miłe obietnice przychwycenia pisarza na kilka chwil dla mnie... tak, dla mnie. Obiecanki — cacanki! Myślicie, że zwodnica dotrzymała której? Acha! Uczennice się wnet rozlazły, goście ulotnili, on sam (Morcinek) z mojemi własnemi koleżankami utkwił u Rektora, gdzie siedział nieskończenie długo. A ja? nic o tem nie wiedziałam. »Pętałam« się

po »uniwerku« w pogoni za nim, aby wreszcie z niczem powlec się do domu.

Nie jestem zdolna opisać uczuć powrotnej drogi. W swoim odczycie o Śląsku p. Morcinek zaznaczył, że Ślązacy nigdy nie pokazują smutków. W żałości »popieronują se« trochę i na tem koniec.

Trzeba przyznać, że po niefortunnem opuszczeniu uniwersytetu, w połowie tylko zachowywałam się jak Ślązacy. Nie potrafiłam »pieronować«, ale też nie pokazałam przechodniom moich smutków, bo wszystkie łzy schowałam w kołnierz. Niestety, jedynie w powieściach łzy wyglądają pięknie i wyczarowują królewicza-pocieszyciela. W rzeczywistości powodują wstrętne i śmieszne nabrzmienia powiek, policzków, a nadewszystko nosa. Ale cóż mnie to wtedy obchodziło, gdy nawet nowe, »matowe« pończochy poplamiłam błotem, włażąc bezmyślnie w kałuże. (Pogoda tego dnia była fatalna, błoto, woda i wiatr).

W domu zawód mój wyładował się w trzech fazach. Naprzód wylałam jezioro gorzkich, słonych łez, potem wpadłam w »pierońską« złość, i biada każdemu, kto się do mnie ośmielił podówczas zbliżyć, wreszcie długo »kwiliłam« jak ptaszę, lub szlachetna bohaterka romansu. Nie śmiejcie się! Dla mnie to wszystko nie było zupełnie zabawną komedją. Był to nędzny melodramat, ale wypełniony łzami szczeremi i szczerem cierpieniem. Nadzieja próbowała raz jeszcze omamić słodkiemi i złudnemi obietnicami, ale złośliwy chochlik sceptycyzmu, szydził zjadliwie, gasząc ostatnie jej promienie.

Na tem kończy się pierwsza część moich przeżyć à propos Morcinka. Byłam zła na cały świat, a przedewszystkiem — na Morcinka. Tak?! Obejdzie się! Nie opracuję za żadne skarby jego twórczości na maturę! Nie przeczytam już żadnych »węgli«! Jak nie, to nie!

W kilka dni później otrzymałam prawdziwy, autentyczny list od Morcinka. Djablik przekory i szyderstwa jak nie pyszny skulił się we czworo. A moja radosna nadzieja i pogodna pewność przebaczyły mu wspaniałomyślnie dawne grzeszki, byle się tylko wynosił i nie napastował mnie więcej.

Ponieważ w liście otrzymałam szereg niezwykle interesujących myśli, dzieląc się niemi z czytelnikami »Dziś i Jutra«, oddaję głos p. Morcinkowi.

Jak zapatruję się na twórczość młodych?

Twórczość młodych współczesnych cechuje ta sama obrazoburczość, — że tak powiem — co wszystkich dotychczasowych młodych. To jest jej atrybutem. Inaczej młodzi nie byliby młodymi. Twórczość młodych zapowiada się radośnie. Jest w niej szukanie nowych dróg nowego wyrazu na stare prawdy, pragnienie tworzenia czegoś odrębnego bardziej wyrazistego i głębszego. Rzeczywistość zmusza ich do tego. We wszystkich twórczych poczynaniach młodych jest dużo rzetelnego wysiłku, jest także sporo snobizmu. Tak było zawsze, u wszystkich pokoleń młodych. W rezultacie wybijają się jednostki, tworzące żywe wartości kulturalne, spory zaś zastęp odpada z pożytkiem dla sztuki.

Co myślę o dzisiejszej literaturze?

W ówczesnej literaturze mamy właśnie takie jednostki o mocno zarysowanej indywidualności i sporo snobów, piszących tak a nie inaczej, bo to *modne*. Ich twórczość posiada jednak trwałość życia jętki — jednodniówki. Trudno, muszą być rycerze i ciurowie obozowi. Inna rzecz, kiedy taki ciura literacki zacznie krzyczeć, że jest wielkim talentem. Wielu ze współczesnych autorów nie posiada swego kośćca ideowego. W swym zapędzie obrazoburczym, wzorowanym na szlachetnym i głęboko odczuwanym zapędzie obrazoburczym tych skrystalizowanych indywidualności artystycznych, ciurowie ci z pewną sztubacką nonszalancją negują wszelkie dotychczasowe wartości kulturalne. Powstaje literatura »proletarjacka«, literatura »lumperproletarjacka« i literatura »chłopska« nizin, spelunek i ulicy. Jej twórcami bywają przeważnie ludzie, którzy z omawianem przez siebie środowiskiem nie mają nic wspólnego, patrząc nań przez lustrzane szyby kawiarni wielkomiejskich. Ponieważ jednak uważają, że cechą tych środowisk musi być wulgaryzacja wszelkich objawów życia, przeto pożądany efekt osiągają przez wulgaryzację języka literackiego. Dopinguje ich w tem niebardzo szlachetnem rzemiośle wrzask gawiedzi snobistycznej, składającej się na pewną część czytelników. Taki literat wierzy i wmawia

w drugich, że to odwaga cywilna, że to pewnego rodzaju bohaterstwo.

Pamiętam, kiedy jeszcze byłem chłopcem, widywałem na odpustach i jarmarkach wędrownych »literatów«. Ci jarmaczni trubadurowie wywieszali na stalugach potworne bohomazy, przedstawiające różne morderstwa i wszystkie siedm grzechów głównych. Jeden z nich śpiewał smętną pieśń własnego układu i wskazywał kijem »ośpiewywany« obraz, drugi basował na harmonji, trzeci sprzedawał oczarowanemu ludkowi zeszyciki, zawierające tamte potworne rymy.

Wielu literatów czyni wrażenie takich jarmarcznych trubadurów.

Którzy ze współczesnych literatów polskich zasługują na miano talentów?

Sporo ich, Zofja Kossak-Szczucka, Ferdynand Goetel, Andrzej Strug, Kazimiera Iłłakowiczówna, Beata Obertyńska, Pola Gojawiczyńska, Jan Wiktor, Skura, Młodożeniec no i wielu innych. U wszystkich jest ów wspomniany wyżej »kościec ideowy«.

Co bardziej odpowiada obecnemu duchowi czasu proza czy poezja?

Bardziej chyba proza. Rola poezji, jaką posiadała poezja z okresu romantyzmu i pozytywizmu, została już wygrana doreszty. Teraz proza ma za zadanie owo przeorywanie duszy i serca ludzkiego.

Czy dzisiejsza literatura toruje sobie nowe drogi, czy zawraca na stare utarte?

Tak właściwie, to ona tylko stara się nadążać tą nową drogą za życiem współczesnem, za jego rzeczywistością. Niezawsze jej się to udaje, ale już sam wysiłek świadczy, że wiele w niej tej »woli życia«, szlachetnej ambicji i rzetelnej pracy.

Tak mniejwięcej przedstawiają się »herezje« (jak sam się przyznaje) p. Morcinka. Cóż ja na to? Nie pomyślałam jeszcze. Ale, że kobieta zawsze musi mieć ostatnie słowo, więc oświadczam: Wszystkie historje Morcinka o węglach i górnikach na maturę przygotuję.

Janina Unkiewicz, kl. VIII.
Gimn. SS. Urszulanek w Lublinie.

MORCINEK I ŚLĄZACY

Jedyna śląska kraino,
Gdzie głąb ziemi
Odgłosem tętni pracy,
Tysiącem serc się płomieni,
Bije pulsów tysiącem.
Gdzie czarnych podziemi słońcem
Jest lamp górniczych blask.
Gdzie czarne dłonie wiertaczy
Zaklęto w twardy trud.
I tyś jest synem Śląska...
W górniczym wzrosłeś stanie,
(Tak chciała losów księga).
Z nim się też życie Twoje
W całym swym biegu sprzęga.
A choć kilofem stalnym
Węgielnych bryl nie łupiesz,
Choć się nie wwiercasz świdrem
W ziemi szarą skorupę —
Toś jest górnikiem prawym
W jasnej kopalni ducha.
Sztygarem w niej — Twe serce,
Myśl jego zleceń słucha.
A cóż Ty tam dobywasz,
Miast młota dzierżąc w dłoni
Pióro? Uderza ono
W opokę granitową,
Co szorstką swą zasłoną
Cnych serc Ślązaków broni.
Zdzierasz kamienną szatę,
(Aż ziemia wokół dudni),
I wołasz: „Dusza Śląska
Jest jako gwiazdy w studni!
Ślązak ma jasne serce,
Choć ręce jego ciemne!“
Lecz tysiąc takich serc
Poprzez wesela bramę
Nie weszło do Macierzy,
Za straszną żyje tamą.
Więc wątłem Twojem piórem
Z pomocą tęgiej myśli
W tej tamie wyrębujesz
Chodnik, by przezeń przeszli,
Stali się polskim chórem!

— — — — —

Wiele Ci dobrych słów
Powiedzieć mam ja ochotę
Górniku wśród górników!
A mówię jedno: „Niech Ci Jezusik
Da skończyć oną robotę“.

Janina Unkiewicz

WET ZA WET

(Dokończenie).

Zdołu zaś rozległy się znów nawoływania:

— Zyzek, Rany Boskie, gdzieś ty?

Już miałem odpowiedzieć, że na szczycie, gdy wtem strzelił mi do głowy zwarjowany pomysł. Człowiek miewa czasem takie dziwne zaćmienia umysłu i potrafi zrobić coś, czemu się później sam nadziwić nie może. W takiej właśnie sytuacji znalazłem się i ja w tej chwili: Ryknąłem na cały głos:

Ratunku!!!

— idziemy! idziemy! począł wołać zdołu Sarenka. Już jesteśmy, jeszcze minuta! — wytrzymasz?

Zamiast odpowiedzieć, zepchnąłem na przeciwną stronę góry spory kamień i zawołałem równocześnie:

— Lecę!

Z dołu odpowiedział mi jęk przerażenia. Jakieś stłumione głosy, okrzyki. Uśmiechnąłem się złośliwie: Teraz mają nagrodę za wczorajsze! Przeżyłem ja trochę strachu, niech i oni przeżyją. I nie czekając, aż wyjdą dogóry, począłem przekradać się granią na Świnnicę, ostrożnie, by mnie przypadkiem nie dojrzeli. A potem już ścieżką zbiegłem do Zielonych Stawków i na Halę Gąsienicową. — Lecz nie danem mi było odpocząć. Nie upłynęło nawet pół godziny, gdy usłyszałem za oknem skrzyp butów. Na salę wpadł zadyszany Konewka.

— Nieszczęście — zawołał od progu. — Straszny wypadek!

— Co się stało? — spytali chórem turyści.

Lecz on podbiegł do telefonu, wycisnął jakiś numer i począł mówić zdyszanym głosem:

— Halo... Czy pogotowie? — Proszę natychmiast przysłać kilku ludzi... Z niebieskiej Turni spadł turysta Antoni Sarenka...

Zadrżałem. Jezus Marja! Sarenka się zabił! — Wszystko przeze mnie. — Przez ten idjotyczny pomysł! Chwyciłem Konewkę za ramię, chcąc się czegoś bliższego dowiedzieć, lecz on nie spojrzał nawet na mnie. Wybiegł ze schroniska. — Ja za nim. Począłem wypytywać, prosić, nalegać. Wszystko napróżno. Nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, aż wkońcu zniecierpliwiony odburknął ze złością:

— Ty go zabiłeś!

Ogarnęła mnie ślepa rozpacz.

— Zabiłem, zabiłem... powtarzałem wkółko, nie mogąc dostatecznie pojąć tego, co mówię. Zostawiłem Konewkę daleko za sobą, chcąc przybyć jak najprędzej na miejsce wypadku. — Pędziłem nieprzytomny, zrozpaczony, tylko pod czaszką bębniło mi nieustannie to słowo: zabiłem. Już zdaleka ujrzałem siedzących na głazach towarzyszów. Głowy mieli zwieszone, bezradne...

— Gdzie Sarenka?

Wskazali nadół, nie mówiąc ani słowa.

— Nie znaleźliście go?

— Nie.

— Ja go muszę znaleźć!

Począłem przeszukiwać wszystkie szczeliny, zwały maliniaków, chodziłem we wszystkich kierunkach, nawoływałem ... — Bez skutku. Sto razy obchodziłem jedno miejsce, obliczałem gdzie mógł spaść i dokąd się potoczyć, a gdzieś ukryta głęboko kołatała się nadzieja, że może jeszcze żyje. Może się nie zabił. — I znów szukałem, by zdążyć z pomocą ... — Bez skutku.

Słońce przetoczyło się już przez połowę nieba i ginąć poczęło za łańcuchem gór, a z niem i moja nadzieja. Teraz choćbym i znalazł, choćby się nawet nie zabił odrazu, to musiał już przecież umrzeć do tego czasu. — Zmrok już zapadł. Wróciliśmy do schroniska. Pogrążyłem się w jakiejś tępej zadumie, ukryłem twarz w dłoniach i trwałem tak długą chwilę bez ruchu. — Tymczasem ktoś siadł obok mnie i położył rękę na mojem ramieniu. Nie zwróciłem początkowo na to uwagi, lecz na głos tego człowieka poderwałem się na równe nogi:

— Wszelki duch Pana Boga chwali — Sarenka!

Uśmiechnął się wesoło:

— Zginął był, a znalazł się. Umarł był a ożył.....

— Skąd ty się tutaj wziąłeś. — Żywy?

— Czemu tak wybałuszasz ślepia na mnie?

Nie jestem żadnym duchem. — Poprostu na figiel odpowiedziałem figlem.

Teraz już całkiem zbaraniałem.

— Jak... Jakto? — Począłem bąkać: — To ty nie zleciałeś?

— Nie rozumiem poco miałem zlatywać? Dlatego, że tobie się tak podoba?

— Ależ nie! Wcale mi się to nie podoba! — Więc ty żyjesz?

Chwyciłem go w ramiona.

Właściwie to ja też powinienem się dziwić, że ciebie widzę. Bo ten huk kamienia był naprawdę ogłuszający!

Teraz mi dopiero przyszło do głowy pytanie:

— A skąd wyście wiedzieli, że ja nie spadłem?

— Bośmy cię widzieli, jak przekradałeś się na Świnnicę. — Zrobiliśmy ci to za karę.

— No dobrze, a jak z tem pogotowiem?

— Et głupstwo, zabrał głos Konewka. Ja się połączyłem z własnym telefonem w Zakopanem.

Teraz już zrozumiałem wszystko. — A później, gdy siedzieliśmy przy kolacji, rzekł Sarenka, pociągając z fajki:

— Zawsze mówiłem: niech kurczę nie zaczyna z kurą!

Tadeusz Polcyn
kl. 7. Gim. Państw. Zakopane

KWIECIARKA

Tak bardzo chciała w izbie pozostać
I jak zwierzę lizać własne rany,
Bo przecież miała małą, nędzną postać,
Przyodzianą w łachmany.
Na dworze mokro, śniegi topnieją,
A smutek wkradał się jej do duszy
I serce jedynie biło nadzieją,
Że bieda kogoś wzruszy.
Wyszła boso wśród wiosennej pluchy,
Nie miała bucików ni kaloszy,
Sprzedawała kwiaty, by na chleb suchy,
Zarobić parę groszy.
Taka sama była jak śnieżyczki,
Zalękła, biała i bez siły,
Ale ciemne oczy na tle twarzyczki
Gorączką się paliły.
Bezradna, o mur wsparta stanęła,
Bo wiatr nią chwiał jakby słabym kwiatem,
Lecz mur nie pomógł. Na ziemię runęła
I rozstała się z światem.

. . . .

Małą mogiłę jej usypano
Na cmentarzu wpobliżu kapliczki.
Co rok, na grobie jej w wiosenne rano
Zakwitają śnieżyczki.

Wanda Pieniążkówna.

Australijska bajka.

Z ciężką głową i rozterką w sercu schodzę na podwieczorek. Otóż lekcje już przygotowałam, ale jeszcze geografja została — właśnie o tej cudacznej i dalekiej Australji. I naco mi to? A tu ciągnie do czytania „Głód” Hamsuna. Błądzę wzrokiem po klatce schodowej, szukając współczucia chociaż u tych piaskowych, kamiennych stopni.

Na korytarzu hałas: „Listy z Australji nadeszły! Wanda! Wanda! do ciebie też jest list i jakaś pamiątka w zaklejonej kopercie!”

Listy? Do mnie? Z Australji?

Przypomina mi się, że kiedyś przed świętami napisałam kilka słów do naszych rodaków w Australji. Kochani! Biegnę do pokoju geograficznego. Rzeczywiście, jest list do mnie. Przebiegam





Kolonja polska w Brisbane w Australji.

go niecierpliwie oczyma. „Zimy tu u nas w Australji niema, ale przykrości zimna zastępują tu przykrości wielkiego ciepła i częste posuchy".

Aha, więc klimat jest gorący i suchy. Kochani Rodacy! na jaki cudowny pomysł wpadli, pisząc o klimacie.

A dalej: "Przysyłamy liście z naszych drzew, a więc... liść z palmy, drzewa cedrowego, śliwy, aprykutu, ananasu, słodkich kartofli". A więc i roślinność jest! Kocham ich za to! Zadowolona przeglądam przysłany pakiet.

Albumy wspaniałych miast. Nie chce mi się wprost wierzyć. Jakież olbrzymie, majestatyczne gmachy, cudowne parki i ogrody.

Przypomina mi się jeden z punktów mojej niedoszłej, planowanej zgóry odpowiedzi: „Małe brudne mieściny". Ślicznie bym się wkopała, niema co mówić!

No i odrazu znalazłam materjał do następnej lekcji o Australji.

Przeglądam jeszcze listy. Mój Boże! Jakie wzruszenie i tęsknota z nich bije! Tęsknota za Polską, wymarzoną, idealną Ojczyzną. Jakaż wdzięczność do tych, co im przesłali kilka „polskich słów".

Nie chce mi się wierzyć, że te zwykłe, codzienne frazesy rzucone na papier tak ich uszczęśliwiły.

Początkowo wysłano tylko trzy listy do Australji. Teraz pisze pół klasy.

Piszemy do tych wszystkich opuszczonych, którzy w tęsknocie żyją, do tych, co już zapominają o ojczystej mowie (jak sami o tem donoszą). Piszemy do nich, bo nasze serdeczne, uczniowskie liściki wyciskają im łzy wzruszenia, bo przez nas mówi do nich stęskniona Matka - Ojczyzna. Piszemy, bo i nam to sprawia radość. Oni odpowiadają nam zawsze. Przysyłają albumy miast, pisma australijskie, śmieszne kalendarzyki, fotografje, wszystko co nas zaciekawia — a przedewszystkiem pełne wdzięczności listy.

A wy, którzy czytacie ten artykuł, co robicie dla naszych rodaków zagranicą? Czy piszecie do Brazylji, Kanady, Francji, Hiszpanji lub do innych państw? Czy posyłacie im polskie książki, gazety? Czy możecie powiedzieć, że przez was przemówiła do nich Polska? Jeżeli nie, to śpieszcie się. Pamiętajcie, co napisał do nas jeden Polak z płd. Ameryki: „O tyle nasza młodzież w Paranie będzie polska, o ile młodzież w Polsce będzie z nią utrzymywała kontakt."

A tylu tych naszych kochanych tuła się po świecie.

Są wszędzie stęsknieni, czekający...

A tą korespondencją nietylko im zrobicie przyjemność, ale i wam często pożądane wiadomości przyjdą wporę, jak to było z moją lekcją geografji.

Wanda Majerówna, ucz. kl. VI. Gimn. 185.

NA WARSZAWSKIM BRUKU

— Świeże obwarzanki wieczorne... — cichy nieśmiały głosik.

Duże szafirowe oczy 8-letniej dziewczynki patrzą na przechodniów z niemą prośbą. Małe, sine rączki ściskają z całej siły ciężki koszyk, a w główce kołacze się jedna uparta myśl: »Tam matka chora, bez opieki, bez pieniędzy, głodna...«

— »Świeże obwarzanki« — głos zachrypnięty, drgający rozpaczą.

— Hej mała, co tak wychwalasz te swoje obwarzanki: dajno jednego!

Dziewczynka patrzy z trwogą na zbliżającego się chłopaka.

Ulicznik brutalnie popycha dziecko, wyjmuje obwarzanek.

Strwożony, rozżalony głosik:

— Panie...

Oberwaniec patrzy wgłąb załzawionych źrenic dziewczynki i łagodnieje. Patrzy na jej postać otuloną za cienkim płaszczykiem wobec dwunastostopniowego mrozu i zwolna wyjmuje z kieszeni monetę.

— Na!

Panie, reszta.

— Chłopak machnął ręką i idzie z pochyloną głową, przytłoczony niedolą dziecka.

— Świeże obwarzanki wieczorowe!

Młoda, elegancka dama w towarzystwie wysokiego mężczyzny, roześmiana i wesoła, krzywi się niechętnie.

— Takie to małe, a już nauczyło się żebrać. Że też na to niema policji.

Mężczyzna, który już wyjął woreczek, chowa nazad pieniądze i zgodnie potakuje:

— Że też na »to« niema policji.

Na długich rzęsach dziewczynki błyszczą łzy. Roześmiana dama jeszcze raz odwraca głowę, a dziecko ucieka z pod baru, gdzie zostało tak niegościnnie przyjęte.

Jakaś gromada chłopców i dziewcząt wraca ze ślizgawki. Łyżwy brzęczą, a młodzież śmieje się, obsypując się śniegiem. Maleńka tuli się do muru i nieśmiałym głosem proponuje — Świeże obwarzan...

Z gromady wysuwa się wysoka dziewczynka i przygląda się dziecku.

— Biedne maleństwo — mówi ze współczuciem.

— Panowie, kupmy obwarzanków!

— Dobrze — godzą się chłopcy.

I otaczają dziewczynkę kołem.

— Patrzcie, jak malutka!

— Jaka śliczna.

Jakie ma cudne loki i oczy.

— I odchodzą roześmiani jedząc obwarzanki, a dziecko radośnie stwierdza, że koszyk jest mniej ciężki.

— Świeże obwarzanki wieczorowe!

Mały chłopczyk zatrzymuje matkę.

— Mamusiu, patrz jaka ładna dziewczynka. Ona mogłaby być moją koleżanką. Musi być bardzo dobra. Dlaczego ona nie idzie do domu!

— Bo niema pieniędzy — odpowiada matka, niecierpliwie pociągając chłopca.

— No to daj jej pieniądze, prędzej.

Matka niechętnie wyjmuje monetę, ale daje ją dziewczynce spełniając prośbę swego jedynaka.

Dziewczynka czuje się strasznie zmęczona. Przystaje na chwileczkę, znów idzie niestrudzenie, przypominając sobie słowa matki:

— Haneczko, nigdy nie siadaj na wielkim mrozie.

Nie rozumiała, dlaczego ma tego nie robić, ale widać tak trzeba, kiedy mamusia nie pozwala.

Czuje, że musi odpocząć, choć trochę. Nóżki jej drętwieją, w małej główce coś tak zabawnie huczy, a przed oczami migają koła, żółte, czerwone, czarne i znowu żółte, czerwone, czarne.

Hanka nieprzytomna z mrozu, zmęczenia i silnej gorączki siada na jakimś stopniu i przytula się do zimnego muru.

Nie czuje już nic, tylko jej tak dobrze!

Otwiera szeroko oczy, bo widzi coś. Oto przed nią stoi biała postać i z uśmiechem na ustach, woła ją do siebie. Dziecko chce wstać, ale nie może. Robi nadludzki wysiłek i staje na chwiejących się nóżkach, postać znika, a dziewczynka ciężko upada na bruk.

Hanka otwiera oczy i zdumiona rozgląda się wokoło. Chce wstać, ale czuje się strasznie osłabiona. Więc tylko mruga prędko powiekami, chcąc się przekonać, że to prawda, że to nie sen tylko. Leży w maleńkiem

białem łóżeczku, w pokoiku ubranym kwiatami, a koło niej siedzi jakaś pani ubrana na biało, z twarzą słodką i łagodną.

— Lepiej ci, dziecinko? — cichy, miły głos.

Hanka mruga powiekami, bo nie może mówić.

Biała pani dzwoni.

Wchodzi siwy pan i uśmiecha się do dziewczynki.

— Doktorze, maleńkiej lepiej.

— Widzę — uśmiecha się.

Poi dziewczynkę jakiemś lekarstwem, a potem biała pani karmi ją rosołem.

Jest dobrze małej Hani, tak strasznie dobrze!

A potem przychodzi twarda rzeczywistość.

— Matka!

Biała pani pochyla się zaniepokojona.

— Matka? Gdzie mieszka?

Dziewczynka cicho wymienia adres.

I nastają chwile oczekiwania i znów Hance jest gorzej i powiększa się gorączka.

Aż drugiego dnia wraca biała pani — Mamusia bardzo chora, w szpitalu i cieszy się, że u mnie jesteś, cieszy się, że chcę cię malutka adoptować. — Nie wie dziewczynka, co to znaczy »adoptować«, ale rozumie doskonale, że odtąd biała, dobra pani będzie ją wychowywać i byłaby szczęśliwa, gdyby nie myśl o matce.

Pomału Hania przychodzi do zdrowia i kocha bardzo swą przybraną mątkę. Ale coraz częściej nurtuje ją myśl o tamtej prawdziwej, konającej w szpitalu.

I przychodzi wiadomość straszna, która gasi radość dziecięcą: Matka nie żyje. Mówi jej to biała pani w pełnych łagodności słowach. Opowiada jej, że matka umarła już dawno, kiedy odwożono ją do szpitala. Biała pani była przy śmierci matki i przysięgła jej, że zaopiekuje się Hanką. A potem uspakaja dziewczynkę i opowiada o swych cierpieniach po stracie męża i małego synka.

Dziecko mocno przytula się do swej przybranej matki i płacze. Stopniowo uspakaja się i wysuwając się z objęć opiekunki, podnosi główkę i szepcze:

— Moja kochana, biała pani.

Zofja Borzymówna, Warszawa.

Nadesłane do Redakcji: „Wódz" — Marji Reuttówny. Nakład Józefa Zawadzkiego — Wilno.

Znany ze swej popularności „Teatrzyk Wileński" wypuścił świeżo swój 30, 31, 32 tomik obrazków scenicznych. Naszym scenom szkół powszechnych oraz organizacyj młodzieżowych brakło dotąd odpowiedniego materjału dla spopularyzowania lat dziecinnych i szkolnych Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Tom 30 cz. I. nosi tytuł **„W starym dworze"**. Dzieci szkoły powszechnej zaznajomią się z rodzeństwem dziesięcioletniego „Ziuka", który w zabawach rodzinnej gromadki rej wodzi. Jakiż zaszczyt dla malca, którego reżyserja uzna godnym tej roli.

II część p. t. **„Szkolne czasy"**, to przeżycia i walki zapalnej i nawskróś genjalnej duszy „Ziuka" – gimnazjalisty. Wspomnienia tych czasów niewoli są doskonałą sposobnością do rozbudzenia w duszy młodzieży umiłowania wolności i pchnięcia jej na ścieżki wiodące do osiągnięcia najwyższego hartu ducha w codziennej, szarej pracy szkolnej.

III część: **„Na placówce"**, skreślona z myślą o aktorach starszych w organizacjach męskich, wprowadza w życie obozowe legjonistów. Postać wodza znika z widowni, wypływa jedynie w gwarze o ukochanym Komendancie rozmiłowanych zapaleńców Jego idei.

Ks. Dr. A. Krzesiński: „Współczesna niewiara". Wydawnictwo Księgarni Św. Wojciecha. Poznań 1935 r. W konferencji wygłoszonej w dzień św. Jana Kantego w Krakowie w kościele św. Anny znawca dusz ludzkich przedstawia źródła i przyczyny obecnego oddalenia od Boga, wskazując jednocześnie drogi powrotu do Niego. W całej przemowie kaznodzieja „nie kładzie tamy, ani granic miłosierdziu Bożemu". Do błądzących odnosi się z najwyższą wyrozumiałością, ma dla nich jedynie słowa miłości: „Nie potępiajmy ich przed czasem, lecz sądy i wyroki zostawmy samemu Bogu. Ludźmi są... to nam powinno wystarczyć, aby im pomocną podać rękę".

Odpowiedzi Redakcji.

Przew. Ks. Wł. K.. w Zakopanem. Prosimy dalej wydobywać talenty autorskie wśród młodzieży. Zasadniczo w dziale „Jutro" umieszczamy artykuły bez wynagrodzenia. Prosimy jednak uwiadomić Redakcję, gdyby współpracownik znajdował się w potrzebie.

Dla Marji K... Z powodu braku miejsca wiersze umieścimy w numerze następnym.

J. Bilwin. Współpracę bardzo sobie cenimy, a tylko wskutek ograniczonego miejsca w piśmie, raz po raz skracamy artykuły. Nowela przysłana na luty nie będzie umieszczona, wiersze w miarę wolnego miejsca umieścimy. Z powodu wyjazdu Redaktorki dziś dopiero odpisujemy.

Z. K. w Poznaniu. Za przysłaną ankietę bardzo dziękujemy i spodziewamy się zainteresowania wśród młodzieży. Otrzymane odpowiedzi odeślemy wprost na ręce Pani, prosząc o opracowanie dalszego artykułu.

Odpowiedzi do współpracowniczek »Jutra«.

Do ogółu Współpracowniczek. Wywiady najchętniej umieszczamy z tem zastrzeżeniem, że mają dotyczyć osób wybitnych i ogólnie znanych jak n. p. ostatni wywiad o naszym wielkim pisarzu współczesnym, Morcinku. Pytania wywiadu mają być sprecyzowane i skierowane do głębszych zagadnień na wzór wspomnianego wyżej wywiadu z Morcinkiem.

W. Pieniążkówna — Stanisławów: Cieszymy się z powodu przełamania nieśmiałości. Kilka wierszyków umieszczamy, prosimy o dalszą pracę i o zachęcenie do tego samego innych.

Z. Borzymówna — Warszawa. Przysyłając artykuły prosimy o podanie gimnazjum oraz klasy. Styl dobry. Tematy do następnych prac radzimy wybierać z pośród bardziej aktualnych, oryginalniejszych, dodając do opisów więcej jędrności i tężyzny. Zacięcie literackie widoczne, prosimy o współpracę.

M. K. z Wilna. „Confiteor" narazie nie umieścimy, gdyż ze względu na nieopanowanie formy wymaga gruntownej przeróbki. Myśli są bardzo piękne. Zachęcamy do dalszej pracy.

Irena Bogajewska. Proszę się starać o większą prostotę treści, myśli i sposobu wyrażania się, a najchętniej pracę umieścimy.

T... M... Odpowiedź Redakcji była wywołaną prośbą o szczerość. Czy w przyszłości sąd swój mamy obwijać w bawełnę? Pisząc o „srogiem profesorskiem oku" odpowiedziałyśmy w tonie żartobliwym, gdyż wiemy jak niesłychanie wyrozumiałym i dobrym jest profesor naszej Współpracowniczki. Równocześnie zawiadamiamy obie strony, że polemika na temat „Życie" z p. Deną Mazaraki może się rozwijać na łamach naszego pisma.

Tadeusz Polcyn. Za barwny i zajmujący artykuł serdecznie dziękujemy i o dalsze na tematy dowolne prosimy. Chętnie widziane są fotografje do artykułów, za które w razie potrzeby należytość zwrócimy.

W... K.. z Krzątki. Podajemy dosłownie treść listu Sz. Pana i załączamy jednocześnie sprostowanie.

„Ponieważ ten miesięcznik został wpisany do indeksu książek niedozwolonych do czytania przez Władze Duchowne — dlatego dziękuję za dalszą prenumeratę — i proszę mi więcej tego czasopisma nie wysyłać".

Odpowiedź Redakcji z d. 16. II. b. r.

„Dziś i Jutro", które zostało wpisane do indeksu książek zakazanych przez Władze Duchowne, było pismem komunistycznem, wychodzącem od 2-ch lat w Częstochowie, a na mocy wdrożonych starań miało przestać wychodzić. Nasze pismo wydawane od 11-tu lat pod redakcją zdecydowanie katolicką, popierane jest i cenione przez Władze Duchowne. Pismo nasze, miesięcznik dla młodzieży, nie ma nic wspólnego z pismem wydawanem swego czasu w Częstochowie, a obecnie może gdzieindziej. Jeszcze jedno pismo poważne, polityczno-społeczne, wychodzące w Warszawie przybrało przed dwoma laty. wybrany przez nas przed 10-ciu laty, tytuł. Należy więc baczną zwracać uwagę na miejsce i rok wydawnictwa, gdyż według ustawy państwowej w tej samej miejscowości nie wolno wydawać pisma o tytule jednakowo brzmiącym.

Kończąc — wyrażamy Szanownemu Panu nasze pełne uznanie za Jego tak zdecydowane stanowisko katolickie i co za tem idzie, konsekwentne stosowanie się do rozporządzeń naszych Władz Duchownych. — Oby więcej było u nas ludzi o takim zakroju. Wówczas katolicyzm mógłby wywierać silniejszy wpływ na uchrześcijanienie społeczeństwa.

Wobec tych wyjaśnień sądzimy, że pismo nasze dalej nadsyłać możemy. REDAKCJA.

TREŚĆ N-ru 6-go:

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 7 ZŁ.

Numer pojedynczy 0·70 zł.

Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.930

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

Zofja Zakrzewska.

Adres Redakcji; Kraków. ul. Starowiślna 11.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.